



O czym szepercze
Patac w Gadnie

Antologia opowiadań
2021

Edycja I

„O czym szepcze Pałac w Gądnie”

Antologia konkursowa

Edycja I

„FENIKS” Stowarzyszenie na rzecz odbudowy i rewaloryzacji Pałacu w Gądnie

Nasz nr konta: mBank 43 1140 2004 0000 3902 7835 5295

Koordinacja projektu:

Magdalena Bieniek

Wybór tekstów do antologii:

Magdalena Bieniek, Natalia Bieniek

Ilustracje:

Magdalena Bieniek - zdjęcia własne, przeróbka grafik (źródło: Internet), Norbin Masawin

Autorzy opowiadań:

Lech Baczyński, Magdalena Bieniek, Natalia Bieniek, Arkadiusz Kijo, Norbin Masawin, Adam i Gerard Nibybyłowski, Justyna Wiejkuć, Marcin Wodo

Korekta:

Natalia Bieniek

Kontakt:

palacwgadnie@gmail.com

Facebook - Pałac w Gądnie

ISBN PDF: 978-83-961578-0-5

ISBN EPUB: 978-83-961578-1-2

ISBN MOBI: 978-83-961578-2-9

ISBN oprawa miękka: 978-83-961578-3-6

ISBN oprawa twarda: 978-83-961578-4-3

Warszawa, 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone.



*Tym, którzy odeszli.
Jesteście w naszych sercach.*

Spis treści

Przedmowa	7
<i>Cerca, trova.</i> Lech Baczyński	8
<i>Dyptyk gądnowski I.</i> Magdalena Bieniek	18
<i>Dyptyk gądnowski II.</i> Magdalena Bieniek	25
<i>Cztery na pięć gwiazdek.</i> Natalia Bieniek	33
<i>Rezerwat.</i> Arkadiusz Kijo	43
<i>Das Tschitobaschn?</i> Norbin Masawin	53
<i>Jak to daleko.</i> Adam i Gerard Nibybyłowscy	63
<i>Komisarz Karmel i tajemnica klamki.</i> Justyna Wiejkuć	74
<i>Feniks wpatrzony w altanę czasu.</i> Marcin Wodo	85
Dodatek	92

„Rzeczywistość jest z tej samej przędzy co i marzenia”

Reymont

W murach Pałacu w Gądnie zakłętę są niesamowite opowieści. Postępująca ruina była świadkiem rozgrywających się na przestrzeni wieków wydarzeń. Jakie historie opowie Pojezierze Myśliborskie?

Z dumą prezentujemy opowiadania – siedem fantastycznych oraz dwa kryminalne. Pięć utworów wybraliśmy spośród tych nadesłanych na konkurs, natomiast cztery stanowią dodatek od nas - członków oraz przyjaciół Stowarzyszenia na rzecz odbudowy i rewaloryzacji Pałacu w Gądnie “FENIKS”.

Antologia powstała dzięki wspaniałym twórcom, którzy zdecydowali się podjąć nasze wyzwanie. Antologia powstała z udziałem moryńskich uliczek, spokojnych wód Jeziora Morzycko, pałacowych gruzów i łopat. Antologia powstała, by rozbawić Was do łez, wzruszyć, zarumienić z przejęcia policzki, zaskoczyć oraz zaciekawić tajemnicami, które skrywa ziemia Pojezierza Myśliborskiego.

Drodzy autorzy, dziękujemy za wszystkie nadesłane teksty. Możliwość przeczytania opowieści o Pałacu nie raz sprawiała, że uśmiechy rozkwitały na naszych twarzach.

Drodzy czytelnicy, przyrządźcie ulubione napoje i zatraćcie się w naszej antologii.

Przyjemnej lektury.

Natalia Bieniek



Lech Baczyński

Cerca, trova

Gdy podszedłem pod pałac w Gądnie, zobaczyłem zwłoki leżące w trawie pod ceglanym murem. Ciało zostało przykryte, a obok krzątało się kilku mężczyzn, zapewne policjantów w cywilu i kilku techników kryminalistycznych w białych kombinezonach. Jeszcze jeden policjant, tym razem w mundurze i czapce, dość leniwie odganiał gapiów, którzy grzecznie utrzymywali nakazany krótki dystans. Wszyscy musieli ostrożnie omijać leżące wokół kawałki gruzu. Pałac był w remoncie; jego otoczenie przypominało plac budowy.

Jeden z techników wyciągnął zmarłemu z kieszeni marynarki portfel.

– Więc to raczej nie rabunek – zwrócił się do kolegi kryminalny. Dość cicho, ale na tyle głośno, że wszystko słyszałem. – Albo zabójcę ktoś spłoszył.

Mężczyzna w białym kombinezonie znalazł dowód osobisty i przeczytał głośno: Artur Kozioł. Wzdrygnąłem się. Znałem to nazwisko. Drugi technik wyjął coś jeszcze z portfela denata, wsadził do plastikowego woreczka i szczelnie go zamknął. Podszedł do policjanta w cywilu. Kryminalny wziął do ręki woreczek z białym kartonikiem wielkości wizytówki.

– Zbigniew Bubak – przeczytał. – Sajdara! – zwrócił się do drugiego policjanta stojącego obok. – Trzeba go znaleźć.

– Dziwna wizytówka – odparł Sajdara. – Brak telefonu, maila, adresu. To jak mamy go szukać? W bazie danych?

– Tak, zadzwoń do chłopaków i powiedz im, żeby wrzucili go na bęben.

Mundurowy pilnujący gapiów odwrócił się na chwilę. Wykorzystałem to i podszedłem do śledczego.

– Proszę się nie zbliżać. To miejsce zbrodni – powiedział policjant, wciąż trzymając w ręce wizytówkę. – Pan w jakiej sprawie? – dodał, gdy zobaczył, że nie mam zamiaru odejść.

– Dzień dobry – odparłem. – Nazywam się Zbigniew Bubak.

Ale mieli zdziwione miny.

Oczywiście musiałem odpowiedzieć na szereg pytań. Poprosili mnie o dowód osobisty i długo wypytywali, skąd się tu wziąłem i co łączyło mnie z ofiarą. W końcu wytłumaczyłem im, że nie mogłem zabić Artura, bo dopiero teraz przyjechałem pod pałac w Gądnie.

– Możecie sprawdzić mój smartfon, GPS, historię w Google Maps, logowania telefonu do BTS-ów – tłumaczyłem. – Artur zadzwonił rano i prosił mnie o pilne spotkanie. Akurat byłem w Biskupinie. Wsiadłem w samochód i przyjechałem. Mieliśmy się spotkać w południe. Teraz jest – spojrzałem na zegarek – wpół do dwunastej.

– Po co mieliście się spotkać? – spytał kryminalny. W czasie rozmowy dowiedziałem się, że nazywa się Detyński.

– Miałem mu pomóc z jakimiś symbolami. Nie mówił wiele. Twierdził, że to nie jest sprawa na telefon, ale wydawało mi się, że jest bardzo podekscytowany. Powiedział, że to bardzo ważne i żebym się pośpieszył. Na miejscu miał mi podać wszystkie szczegóły. Znałem go i wiedziałem, że bez ważnego powodu by mnie tu nie ściągał.

Jeden z techników podszedł i wręczył Detyńskiemu przezroczysty woreczek na dowody; tym razem dość spory, mieszczący kartkę formatu A4. Policjant pokazał kartkę Sajdarze, a ten bez namysłu podsunął mi ją pod nos.

– Skoro się pan zajmuje symbolami, to proszę nam to wyjaśnić. Co to jest?

Szybko obrzuciłem wzrokiem kartkę i zapamiętałem wszystkie szczegóły. Mam dobrą pamięć. Poza tym obawiałem się tego, co zaraz się stanie. Miałem rację; już po chwili Detyński złapał Sajdarę za rękę i wyrwał mu woreczek.

– Pogadamy na komendzie – mruknął.

Ale ja już zapamiętałem rysunek. Przedstawiał Jezusa, w pozie jakby wisiał na krzyżu – z rękami wyciągniętymi w kształcie litery Y. Przypomniałem sobie piosenkę „YMCA” i zrobiło mi się trochę głupio. Przy prawej dłoni Chrystusa znajdowała się szachownica, przy lewej litera M i krzyżyk, a dalej R i mniejszy krzyżyk; równoramienny, z rozszerzającymi się końcówkami. W koronie cierniowej kolejna szachownica i litera D. Pod stopami kielich, a pod nim napisy „tam skarb twój, gdzie serce twoje”, „cerca, trova” oraz „χθόνιος”. Z serca postaci wypływała krew, ale wyglądała, jakby ją namalował Picasso czy inny abstrakcjonista – składała się z trójkątów, przypominała ostrą piłę. Obok znajdowała się kolejna szachownica.

– Co to za rysunek? – spytała drżącym głosem stojąca tuż za mną kobieta. Nie słyszałem, jak się zbliżała; musiała stąpać bardzo cicho. Ciekaw byłem, czy też zobaczyła wszystkie symbole i czy mogła je zapamiętać.

– Dowiemy się wszystkiego w toku śledztwa. Prosimy o cierpliwość. Przykro nam z powodu pani straty, ale proszę nie utrudniać nam pracy.

Kobieta otarła oczy wierzchem dłoni. Spojrzałem na nią i zrobiło mi się przykro.

– Czy jestem zatrzymany? – spytałem.

– Nie, ale proszę na razie nie opuszczać okolicy. Możemy mieć do pana jeszcze kilka pytań.

Odszedłem w kierunku głównej drogi. Policjanci długo wodzili za mną wzrokiem. Gdy już dochodziłem do zaparkowanego tam samochodu, nieznajoma dogoniła mnie.

Przyjrzałem się jej. Miała ze dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat, ładną twarz, blond włosy. Szara, dopasowana garsonka podkreślała jej kształty.

– Dzień dobry, możemy chwilę porozmawiać? Jestem siostrzenicą Artura. Wspominał panu o mnie?

– Nie przypominam sobie.

– Czy przyjrzał się pan temu rysunkowi? – zapytała.

– Tak, a czemu pani pyta?

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego ktoś go zabił. Czy to mogło mieć coś wspólnego z tym obrazkiem?

– Nie wiem, ale może rysunek da na to odpowiedź. Pani wujek prawdopodobnie przygotował go dla mnie. Pewnie skopiował skądś i chciał mnie prosić o pomoc w zrozumieniu jego znaczenia, pani...

– Może mi pan mówić Zofia.

– Zbigniew. Miło mi.

– Mogę ci pomóc, Zbigniewie. Jeżeli jest, choć cień szansy, że to pozwoli złapać mordercę wujka... Muszę to zrobić. A ja wiem, co mogą oznaczać te szachownice. Jedna z nich jest całkiem niedaleko. W Moryniu. Pokażę ci.

– Dziękuję, choć przyznaję, że jestem trochę zaskoczony, ale każda pomoc się przyda.

– To co, jedziemy do Morynia? – zapytała.

Wsiedliśmy do samochodu. Uruchomiłem silnik. Radio włączyło się automatycznie, a z odtwarzacza MP3 dobiegła wesoła piosenka „Shalala lala” zespołu Vengaboys.

Zofia skrzywiła się.

– Nie podoba się? – zapytałem.

Nie odpowiedziała, pociągnęła nosem i znowu otarła oczy.

– Przepraszam. To może to – powiedziałem. Zmieniłem muzykę na „Wariacje Goldbergowskie”.

– Niech będzie – odparła, wyciągając chusteczkę z torebki.

Moryń był niedaleko. Musieliśmy tylko objechać kawałek jeziora Morzycko. Przejechaliśmy między polami, koło młodego lasu. Po drodze, przy wjeździe do miasta, przy tablicy z napisem „Moryń” minęliśmy diabelski fotel – leżący tuż nad jeziorem kamień i stojące koło niego stoły piknikowe oraz tablicę informacyjną z rysunkiem diabła siedzącego na kamiennym fotelu i łowiącego ryby.

Przy Biedronce stanęliśmy w niewielkim korku. Miałem chwilę czasu, by przyjrzeć się Zofii. Podobała mi się. Gdyby nie to, że przeżywa teraz żałobę po zmarłym członku rodziny, pomyślałbym, czy nie spróbować zaprosić ją na kawę. Ciekawe ile trwa oficjalna żałoba po wujku – zastanawiałem się. Przechyliłem się trochę i sprawdziłem w lusterku wstecznym, jak wyglądam. Zauważyłem, że ostatnio bardziej się opaliłem; pewnie na wykopaliskach. Przyglądziłem ciemne włosy i poprawiłem błękitną, lnianą koszulę.

Korek się skończył i wkrótce minęliśmy świetnie zachowane mury miejskie. Widniał na nich herb Morynia; z czerwonym murem zamku i bramą, w której była ryba i pół czerwonego orła. Przypomni mi herb Krakowa, z orłem w wejściu do Barbakanu.

Przejechaliśmy ulicą Żeromskiego, potem wzdłuż brukowanego placu Wolności, minęliśmy pomnik Wielkiego Raka, stojącego na sporym głazie. Zofia powiedziała, że według legendy w razie zagrożenia bronił miasta.

Z Placu Wolności było już widać masywną, kwadratową wieżę kościoła. Podjechałem bliżej i zaparkowałem przy urokliwej ulicy Dojazdowej. Spojrzałem na zegarek. Od wyjazdu spod pałacu minęło zaledwie siedem minut.

Obeszliśmy dookoła kościół. Solidne mury z ociosanych kwadratowo kamieni, w różnych odcieniach różu i szarości robiły wrażenie; przykuwały uwagę surowym pięknem. Jednak nie widzieliśmy nigdzie szachownicy. Dopiero przy drugim okrążeniu ją dojrzelśmy. Na narożniku masywnej wieży, na jednym z kamieni widać było jaśniejsze i ciemniejsze pola, tworzące trzy rzędy i cztery kolumny.

– Mała ta szachownica. Nie da się na niej grać – zażartowałem. – Ledwo koniem można skoczyć.

– Ale jest. No dobra i co dalej? – zapytała Zofia.

– Nie wiem – powiedziałem, podchodząc do muru.

Złapałem kamień i próbowałem go poruszyć. Narożny element miał dwie odsłonięte powierzchnie, leżące na obu łączących się ścianach. Pchałem go w głąb muru. Nie ruszył się. Spróbowałem od drugiej strony. Też nic. Przytrzymałem dłonie płasko przy murze i próbowałem przesunąć kamień na zewnątrz, ale tylko podrapałem ręce.

– Nic z tego – powiedziałem. – To nie ma sensu.

Rozejrzałem się dookoła. Teren przy kościele otoczono murem. Południową stronę pokrywał bruk, na północnej rosły trawa i drzewa. Pomiędzy nimi przechadzało się dwóch

mężczyzn. Nie robili nic konkretnego. Obejrzałem wysoki, ciemny krzyż z jasną figurą Jezusa; ładny portal, małe okienka w grubym murze.

– Poszukajmy. Może jest tu coś ciekawego? – powiedziałem, wykonując szeroki gest ręką i wskazując na otoczenie kościoła.

– Ale co?

Dobre pytanie. W książkach bohaterowie zawsze znajdują jakiś niepasujący element, schowaną dźwignię, zapadnię uruchamiającą, albo dziurę, w którą trzeba wsadzić sekretny klucz. A w rzeczywistości?

My nic nie znaleźliśmy.

Wróciliśmy do auta. Wyciągnąłem spod fotela pasażera atlas samochodowy Polski. Wyjąłem długopis ze schowka w drzwiach.

– No dobra – powiedziałem, kładąc atlas na masce. – Tu mamy Moryń. – Zakreśliłem miejscowość kółkiem. – Tu pałac w Gądnie. – Kolejne kółko. – Na pałacu jest herb rodziny von Rohr. Też szachownica, tylko w postaci trójkątów nie kwadratów.

– Co? Szachownica z trójkątów?

– Wyewoluowała trochę, zmieniła się z czasem. Ale nieważne. Na rysunku z Chrystusem były takie trójkąty, pamiętasz?

– Uhm.

– Dalej. Przy lewej dłoni była kolejna szachownica...

– Prawej – sprostowała Zofia.

– A tak, jego prawej. A przy lewej krzyżyk i litera M. Trochę jak herb papieża. Dalej był drugi krzyżyk, wyglądał na symbol templariuszy. Oraz litera R. Na dole kielich i napisy.

– Pamiętam. Tam skarb twój, gdzie serce twoje – powiedziała. – To chyba cytat z Biblii?

– Nie, w ewangelii Mateusza jest napisane „gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje”. Podobnie, ale nie tak samo. A drugi napis pamiętasz?

– Nie bardzo,

– To było „cerca, trova”.

– Co to znaczy?

– Szukaj, a znajdziesz

– O, też cytat z Biblii. Skąd wiesz, co to znaczy?

– Niedawno czytałem taką książkę... Zresztą nieważne. Ale to też nie jest dokładny cytat. Okej, gdzie jeszcze są kościoły z szachownicami? I co mogą znaczyć te literki nad drugą ręką?

Pochylili się nad mapą.

– Sprawdzę w Internecie te szachownice – powiedziałem.

Wyciągnąłem smartfona i wpisałem „kościoły szachownice”. Pokazało się sporo stron.

Hmm, może inaczej, będzie szybciej. Wpisałem „kościoły szachownice mapa”.

– Łał! – krzyknąłem. – Ktoś zrobił mapę wszystkich kościołów z szachownicą. Całkiem sporo z nich znajduje się we wschodnich Niemczech, północnej Danii, południowej Szwecji. Nawet na Bornholmie, Nylars Kirke, niedaleko lotniska – mruknąłem.

– Może skupimy się na okolicy? – powiedziała. Jej duże, zielone oczy patrzyły na mnie wyczekująco. Dostrzegłem w nich coś jeszcze; ślad wesołości? Zainteresowania? Niecierpliwości? Nie potrafiłem zinterpretować tego spojrzenia.

– Hmm, okej, to tak... Tu jest Moryń. Trochę nad nim i w lewo...

– Czyli na północny zachód?

– W sumie prawie równo na północ leży Dolsko. Zaznaczone szachownicą. I na lewo, czy też zachód od niego znajduje się kolejna szachownica, Lubiechów Górny, kościół pod wezwaniem świętego Józefa Robotnika.

– To może być głowa i ręka. A druga ręka, na wschód, czyli w lewo? – zapytała.

– Godków. Ale coś za blisko. Znacznie bliżej niż Lubiechów.

– A co jest dalej?

– Chojna... Nie ma na mapie szachownic. Spróbuję poszukać informacji.

Kliknąłem link do Wikipedii. Zobaczyłem ilustrację z dużym kościołem, podpisaną jako „Stare miasto z kościołem Mariackim”.

– Mariacki – krzyknąłem. – M jak Maria. To by pasowało. A co jest dalej? – mruknąłem do siebie. – Rurka! Oczywiście, znam tę nazwę! Tam jest kaplica templariuszy.

– Templariuszy? – zapytała.

– Tak, w okolicy znajdowało się kilka komandorii tego zakonu. Pewnie nawet templariusze byli tutaj po tym, jak we Francji ich zlikwidowano i aresztowano. Słyszałaś o tym? Król Filip IV Piękny w piątek, trzynastego października 1307 roku, kazał uwięzić templariuszy. Twierdził, że to heretycy, którzy oddają się bezbożnym praktykom, czczą Bafometa. Zresztą, ten Bafomet to pewnie przekręcone imię Mahometa, a dowodów na jego

kult nie było, poza zeznaniami wymuszonymi torturami. Ale czekaj, zapędziłem się... Dobrze, zatem prawa ręka...

– Lewa – sprostowała Zofia. – I mów ciszej. Nie podoba mi się tych dwóch typów. – Wskazała dyskretnie głową. – Kręcili się pod kościołem, teraz łążą tu, jakoś tak bez celu.

Faktycznie. Była spostrzegawcza i czujna. Coraz lepiej nam się współpracowało.

– Okej, lewa ręka – kontynuowałem szeptem – to Chojna, kościół Mariacki i dalej kaplica w Rurce. Prawa, Lubiechów Górny. Głowa, Dolsko, kościół świętej Elżbiety Węgierskiej, też templariuszy. Nawet była tam na rysunku litera D, teraz sobie przypomniałem. Serce, Moryń i pałac w Gądnie. Zatem stopy wypadają... Gdzie? Gdzieś tu?

Stukałem palcem w mapę i odczytywałem nazwy miejscowości.

– Mieszkowice? Wicin? – mruczałem pod nosem. – Nie, chyba dalej. Boleszkowice? Chwarszczany... Oczywiście! – krzyknąłem, nie zważając już na dwóch typów. – Jak mogłem na to od razu nie wpaść! Wsiadaj!

– Co?

– Wytłumaczę ci po drodze!

Wrzuciłem mapę i długopis na tylne siedzenie. Ruszyłem z piskiem opon po wąskich ulicach Morynia. Samochodem aż zarzuciło przy skręcie z Ogrodowej w Wąską.

– Dlaczego tak się spieszymy? – zapytała Zofia, gdy pędziliśmy szosą.

– W Chwarszczanach też jest kaplica templariuszy – odpowiedziałem, wymijając tira na ciągłej linii. – Lepiej jedźmy tam, zanim nas ktoś ubiegnie. Na przykład zabójca twojego wujka. Albo te dziwne typki z Morynia.

Po dwudziestu minutach byliśmy już w Chwarszczanach. Przejechaliśmy przez dwa mosty z błękitno-białymi barierkami i skręciliśmy w prawo, w boczną żwirową drogę przy krzyżu, pod którym stała figura Matki Boskiej, w takich samych kolorach jak barierki.

Zaparkowaliśmy w cieniu wysokich drzew, tuż przy trawniku otaczającym kaplicę. Budynek był nieduży, ale wysoki. Ściany z jasnej cegły stały na cokole z szarych, granitowych kamieni. Wąskie gotyckie okna pięły się na wysokość na oko dziesięciu metrów. Po bokach granitowego portalu stały dwie imponujące wieże.

– Przypomina mi Sainte-Chapelle – powiedziała Zofia.

– Taaa, chyba nadwiślańską wersję. A mnie kojarzy się ze świątynią Salomona.

– Przecież ona nie istnieje.

– Zachowały się opisy jej wyglądu.

Znowu, tak jak w Moryniu, zaczęliśmy od obejścia budynku dookoła. I tym razem też nic to nie dało. Podeszliśmy do głównego portalu. Popchnąłem ciężkie drzwi. Na szczęście były otwarte. Obejrzałem ascetyczne wnętrze i wyblakłe polichromie.

– No dobra. Znowu nie wiemy co dalej – powiedziała.

Wyszedłem na zewnątrz. Zofia za mną. Zlustrowałem otoczenie kaplicy.

– Popatrz, tam jest studnia – odrzekłem.

– Myślisz, że to tam?

– Pamiętasz ten trzeci napis?

– Ten z dziwnymi literami? Jakby ruskimi?

– To po grecku. – Podeszedłem do studni.

– Znasz grecki?

– Nie bardzo, ale alfabet umiem przeczytać. Ten napis brzmiał „chtonios”.

– Co to znaczy?

– Chtoniczny.

– No, to mi wyjaśnię.

– Chyba chodzi o greckie bóstwa ciemności, śmierci, podziemi.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Czytałem ostatnio taką książkę...

– No oczywiście. Mogłam się domyślić.

– Może z tym chtonicznym chodzi o to, że pod wodą? Jeśli to jest tu, to i tak bez sprzętu do nurkowania nie dam rady.

Wyciągnąłem smartfona z kieszeni. Przez dłuższy czas szukałem informacji.

– Nie – powiedziałem w końcu. – Studnia jest dość nowa, z dziewiętnastowiecznej gorzelni. Ale znalazłem inną ciekawą informację. Chodź.

Znowu weszliśmy do kaplicy. Tym razem podeszedłem do ściany i wskazałem masywną, metalową kratę w podłodze.

– To wejście do podziemnej krypty – wyjaśniłem. – Niedawno odnaleźli ją archeolodzy. Są tam szczątki rycerzy. Templariuszy.

Rozejrzałem się. Nikogo nie było dookoła.

– Podejdz tu – szepnąłem. – Pomożesz mi.

Z trudem podnieśliśmy kratę. Wślizgnąłem się do środka, zeskakując ze dwa metry w głąb. Pod nogami coś chrupnęło. Wołałem nie zastanawiać się, czy to kości. Włączyłem latarkę w smartfonie. Przyjrzałem się kamieniom w ścianach krypty. Jeden z nich nieco

wystawał. Popchnąłem go. Nie ruszył się. Z trudem złapałem go końcówkami palców, ścisnąłem, pociągnąłem. Wyszedł. Oświetliłem latarką miejsce, gdzie wcześniej był kamień. Zobaczyłem małą wnękę.

W środku znajdował się kielich. Drewniany. Oto kielich cieśli – pomyślałem. Wreszcie go znalazłem; po tylu latach poszukiwań. Święty Graal. Powoli wyjąłem go z wnęki i trzymałem w dłoniach – ostrożnie jak pierworodnego syna, uważnie jak porcelanę z dynastii Ming, delikatnie jakbym dotykał Całunu Turyńskiego.

Podszedłem do wyjścia. Spróbowałem się wydostać z krypty, ale nie mogłem. Otwarta krata była sporo nade mną. Nawet gdy udawało mi się doskoczyć do poziomu podłogi kaplicy, nie miałem jak się złapać; dłoń ślizgała się na gładkiej posadzce.

– Potrzyj. – Podałem naczynie nachylającej się nad kryptą Zofii.

Musiałem mieć wolne ręce. Zacząłem gramolić się do góry. Krata zgrzytnęła, po czym opadła. Poczulem ostry, przeszywający ból, gdy uderzyła mnie w głowę. Straciłem przytomność.

Ocknąłem się. Leżałem na plecach, które strasznie bolały po upadku. Rana na głowie pulsowała i piekła. Powoli otworzyłem oczy. W mroku krypty niewiele widziałem. Nie wiedziałem, ile czasu już tu leżałem.

Usłyszałem kroki na kamiennej posadzce nade mną. Po chwili światło latarki ukłuło mnie w oczy. Zaraz potem promień przeniósł się w bok i zobaczyłem postać nachylającą się nad wejściem do krypty.

– Nic panu nie jest? – spytał Sajdara.

Wstałem, pomacałem głowę. Krwi było niewiele.

– Jakoś żyję.

Sajdara nachylił się, podał mi rękę i pomógł wyjść. Zobaczyłem Detyńskiego, dwóch mundurowych i... Zofię. Stała z rękami skutymi za plecami.

– Od razu wydała nam się podejrzana – powiedział Detyński. – Sprawdziliśmy. Zamordowany nie miał siostry ani brata. Dyskretnie was śledziliśmy i doprowadziliśmy nas aż tutaj.

– A Graal?

– Ma pan na myśli ten stary kielich? – spytał, unosząc go i oglądając. – Trafi do muzeum, tam, gdzie jego miejsce.



Magdalena Bieniek
Dyptyk gądnowski I

Słońce chyliło się ku zachodowi. Szerber podziwiał jego wędrówkę ku linii horyzontu. *Magia*, pomyślał. *Prawdziwa magia*. Od zawsze wiedział, że najpiękniejsze zachody można podziwiać z gądnowskiej plaży.

Przycupnął pod jednym z rozłożystych kasztanowców i obserwował grę światła na tafli jeziora. Jednak uwagę Szerbera przykuło coś jeszcze. Był pewien, że tylko on widział mężczyznę, który jechał dumnie przez błękit nieboskłonu. Rydwan ciągnęły dostojne, białe rumaki. To Swaróg, słowiański bóg słońca i ognia niebiańskiego, powracał do domu. Szerber przypomniał sobie dawne czasy, gdy stare bóstwa chodziły po ziemi, a magia była wszechobecna.

Nagle do jego uszu dobiegły niebiańskie dźwięki violino. Dochodziły od strony skarpy. Urzeczony muzyką pobiegł w tamtym kierunku. Piasek zgrzytał mu pod stopami, gdy pędził ku nieznanemu.

Zatrzymał się oniemiały z zachwytem. W wodzie pośród białych lilii stała piękna, białowłosa niewiasta. Jej zwiewna, biała suknia powiewała na delikatnym wietrze. Zwinne palce nieznamojemu naciskały na struny skrzypiec, a smyczek czule je pieścił, wydobywając cudowną, ale i smutną muzykę. Dziewczyna była skąpana w promieniach zachodzącego słońca. *Wygląda niczym Pani Jutrzenka żegnająca pędzącego po nieboskłonie ukochanego*. Czyżby i ona widziała Swaroga i grała dla niego tę piękną pieśń?

Szerber nie mógł ani nie chciał oderwać wzroku od niewiasty. Nawet skryte w pobliskich szuwarach nimfy wodne słuchały jej koncertu jak zaczarowane. Gdy dziewczyna skończyła grę, wyszła z wody. Włożyła skrzypce do futerału i podeszła do białego konia, który pasł się przy starej lipie. Wyjęła z torby jabłko i podała je klaczy. Pogłaskała ją czule. Nim Szerber zdążył zareagować, niewiasta wskoczyła na konia i odjechała.

Cóż to za bogini? Gdzie jej pałac? Czy już tutaj grywała? Głowę Szerbera wypełniał kocioł myśli. Złościł się, że od dawna nie był po tej stronie jeziora. Ostatnio miał dużo pracy – całe dnie wypełniało mu uprzykrzanie ludziom życia. Nie mógł sobie odpuścić płatania żartów chłopom na polu. Podążył za dziewczyną, ale nieznamojemu lania zniknęła między drzewami. Wiedział jedynie, że pojechała w stronę Morynia.

Anna była córką majora Hansa von Schönebecka, pana Morynia i Gądna. Wiedziała, że nie powinna sama zapuszczać się nad wschodni brzeg jeziora Morzycko. W dzieciństwie słyszała od niani opowieści o okrutnym Szerberze, który niegdyś zamieszkiwał pałac w podwodnych głębinach. Legenda mówiła, że gdy na rozkaz dawnych bogów opadły wody zbiornika, z odmętów wyłoniła się piękna, zamieszкана przez pradawną istotę o mroźnym

oddechu rezydencja. Tereny były tak urodzajne, że ludzie zaczęli się tam osiedlać i zapragnęli mieszkać w posiadłości. To jednak nie spodobało się jej właścicielowi. Starszyzna plemienna przechytrzyła stwora, tworząc chroniącą przed jego mroźnym oddechem ogniową osłonę wokół pałacu. Przegonili Szerbera. Ukrył się w najgłębszej rozpadlinie jeziora i od tamtej chwili mścił się na ludziach. Tych, którzy zapuszczali się nad Morzycko – wciągał pod wodę lub dźgał swoim nożem. Szerber był tak nieznośny, że z czasem mieszkańcy zaczęli uciekać z Gądna. Obecnie rzadko ktoś tam zaglądał.

Tego lata Anna odważyła się, by wyruszyć do małej, opuszczonej wioski rybackiej. Zauroczył ją cudowny park z dziko rosnącymi drzewami. Roślinność konkurowała o każdy promień słońca, korzenie oplatały się wzajemnie, a bluszcz łączywie pochłaniał wszystko, co napotkał na swojej drodze. Wiedziała, że gdzieś tam są pozostałości dawnych zabudowań. Nikt z mieszkańców okolicy, z obawy przed zemstą upióra, nie zapuszczał się w gęstwinę.

W końcu dziewczyna dotarła do murów domostwa. Wśród chaszczy zobaczyła wieżyczki dawnego pałacu. Obecnie królowała w nim natura, która panoszyła się zuchwale. Korzenie kruszyły kamienne głązy. Dziewczyna urzeczona śpiewem ptaków usiadła pod kasztanowcem i zatraciła się w rozmyśleniach. Wyobrażała sobie piękno legendarnego, podwodnego pałacu. Zauroczona tym zakątkiem straciła poczucie czasu.

Chciała zobaczyć jeszcze jezioro, więc podążyła w jego stronę. Zeszła po stromej skarpie na rozległą, inną niż ta znana jej z Morynia, plażę. Zachód słońca oraz skrząca się woda sprawiły, że oniemiała z zachwytu. Zejście do jeziora było łagodne. Na jego powierzchni unosiły się setki białych lilii. Dziewczyna zdjęła buty. Podwinęła zwiewną suknię i weszła po kolana do ciepłej wody. Nie odważyła się na kąpiel. Wpatrywała się w wędrowną słońca. Postanowiła, że wróci tu jutro i zabierze swoje ukochane skrzypce, aby muzyką oddać cześć temu miejscu.

Od tej pory podróże do Gądna stały się jej codziennym zajęciem. Jak dotychczas nie spotkała niebezpiecznego Szerbera. Zaczęła spędzać tam coraz więcej czasu. Nawet udało jej się przekonać ojca, aby wybrali się razem. Pokazała mu dawne domostwo.

Jednak jeden dzień był inny. Biała klacz, Mora, początkowo nie chciała wejść w leśną gęstwinę. Anna zanuciła spokojną melodię i poklepała zwierzę po karku. W parku ptaki śpiewały ciszej niż zwykle. Nawet tafla jeziora była nieruchoma. Wszędzie panował spokój. *Jak cisza przed burzą.* Dziewczyna wyjęła skrzypce i weszła do wody. Rozpoczęła swój wieczorny koncert. Pod koniec miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Postanowiła czym prędzej wrócić do domu.

Następnego dnia Szerber czekał na powrót dziewczyny. Jak wszystko, co piękne i magiczne zjawiała się wieczorową porą. Tym razem nie weszła do wody. Usiadła na dużym głazie na brzegu plaży i zaczęła grać. Szerber zamknął oczy. Muzyka wypełniała jego ciało, wnikała w głębię. Czuł, jak buzuje mu w żyłach, rumieni policzki, gładzi białe włosy. Uspokajała gniewne serce.

Ludzie zawsze wzbudzali w nim złe emocje. Chciał ich ukarać za odebranie swojego domu. Z czasem chęć zemsty przygasła, ale wszyscy wciąż opowiadali o nim straszne historie. Nie przeszkadzało mu to, bo dzięki temu trzymali się od niego z daleka.

Jednak dziewczyna była inna – nie bała się go. Czuł, że domyśla się jego obecności. *Poczekam na jej ruch*, pomyślał i oddał się wsłuchiowaniu w muzykę.

Anna odłożyła skrzypce na kamień. W palcach czuła mrowienie. Oddychała coraz szybciej. Wiedziała, że to on ją obserwuje. Wczoraj nie zrobił jej krzywdy – a przecież mógł zaatakować i wciągnąć pod wodę. *Może nie jest taki straszny*, pomyślała.

– Ktoś ty? – zawołała. – Proszę, pokaż się.

Wszystko ucichło. Słyszała tylko łomot własnego serca. Coś w zaroślach zaszeleściło i jej oczom ukazał się jasnowłosy młodzieniec. Powoli zbliżał się do Anny. *Wygląda jak albinos*. Skóra stwora połyskiwała w słabych promieniach zachodzącego słońca. Wdział elegancką białą koszulę i spodnie oraz czerwoną kamizelkę. Z ramion zwisała biała peleryna. Wyglądał jak człowiek, jednak jego oczy nie były ludzkie. Tęczówki lśniły czerwienią, a gęste rzęsy jakby pokrywały płatki śniegu.

Fala gorąca zalała ciało Anny. Serce tukało w piersi jak uwięziony w klatce ptak. Czuła, że zaraz eksplodują jej żyły.

Stwór zatrzymał się i wyszczerzył zęby w czymś, co uważał za uśmiech. Nie były ostre, tak jak kły z dziecięcych bająn, ale na ich widok Anna wzdrygnęła się.

– Zagrasz dla mnie?

Wpatrywali się w siebie. Oddech dziewczyny powoli zwalniał, a niepokój jakby wyparował. Podniosła skrzypce i zaczęła grać. Jej palce rozluźniły się na strunach. Szerber przykucnął na kamieniu obok niej. Anna uśmiechnęła się delikatnie. Muzyka krążyła w powietrzu, wiążąc ich serca na zawsze. Wszystko wypełnił spokój.

Gdyby samotny wędrowiec napotkał parę, mógłby uznać, że stali się nierozłączni. Anna z każdym dniem sprawiała, że mroźne i mroczne okrucy w sercu Szerbera topniały. Zaczęła je wypełniać miłość do dziewczyny. Okazało się, że mają wiele wspólnych

zainteresowań. Spędzali ze sobą dużo czasu. Kwitnąca miłość sprawiła, że Anna namówiła ojca na odnowienie posiadłości w Gądnie. Z czasem major von Schönebeck przeniósł tam swoją siedzibę.

Dziewczyna całym sercem pokochała Szerbera. Jednak spotykali się potajemnie, gdyż ich miłość w świecie Anny nie miała prawa bytu. Szerber był nadprzyrodzonym, nieśmiertelnym stworzeniem. Rozpacz dziewczyny stała się jeszcze większa, gdy ojciec przedstawił jej kandydata na męża, Hasso von Papsteina. Wiedziała, że małżeństwo z miłości to luksus, a większość związków małżeńskich zawierano jako rodzaj kontraktu między rodzinami. *Nie mogę zawieść bliskich*, pomyślała, wysłuchując propozycji ojca. Obiecał, że zostawi jej w posagu ukochane Gądnio, by para młoda mogła tam zamieszkać.

Zrozpaczona dziewczyna pobiegła do Szerbera.

Zalana łzami Anna wpadła w jego ramiona. Zaczęła dukać o ślubie, lecz to nie on miał zostać oblubieńcem. *Powiniennem rozszarpać jej ojca i przysięgo męża*. Jednak wiedział, że dziewczyna nigdy by mu tego nie wybaczyła.

– Co nam pozostaje? – zapytała Anna, wtulając twarz w jego szyję.

Nie mogli uciec do mitycznych krain, o których jej opowiadał. Dziewczynie zagrażałoby zbyt wiele niebezpieczeństw. Chciał zabrać Annę w głąbiny Morzycka i ukryć przed światem, ale musiałby ją utopić.

Szerber po raz pierwszy od zarania dziejów nie wiedział, co uczynić. *Udam się do swojej babki*, postanowił. *Ona znajdzie radę na wszystko*.

Gdy niebo okryło się granatem, a pierwsze gwiazdy zakwitły, Szerber udał się do Marzanny, słowiańskiej bogini śmierci, zimy i niszczycielskiej mocy natury. Pani sprawowała pieczę nad ziemskimi wodami, chłodem, snami, a nawet wojną. Dawała, ale i odbierała życie. Jako pradawny byt pierwotnej Matki Ziemi zawsze była przychylna Szerberowi i służyła mu pomocą. Po długiej naradzie Marzanna obiecała rzucić welon zapomnienia na umysł Anny.

– Zniknie każde wspomnienie, które dzielicie – ostrzegła, a Szerber skinął głową. Wiedział, że tak będzie dla jego ukochanej najlepiej.

– Obiecują trwać przy niej do końca świata, a jeśli zajdzie taka potrzeba to i dłużej – przyrzekł.

Ogromne jak szklane perły łzy wypełniły oczy Szerbera. Zwiesił ramiona i opuścił wzrok. Marzanna dumiała.

– Bardzo ją kochasz.

– Dla niej przestałbym kłuć chłopów w pięty, a psikusy płatałbym tylko od święta – wyszeptał.

– Dobrze więc. – Marzanna ujęła jego dłoń. – Gdy jej ciało odmówi posłuszeństwa, a choroba lub starość przykują do łoża, nim dziewczyna wyda ostatnie tchnienie, wszystkie wspomnienia powrócą. Anna von Schönebeck stanie przed ważnym wyborem. Zaśnie na zawsze, odrzuciwszy miłość do ciebie albo zaakceptuje łączące was uczucie. Pozostaje jeden haczyk. – Szerber uniósł wzrok. Marzanna otarła jego łzy. – Gdy pierwsze promienie słońca zaszkłą tafel jeziora Morzycko, dziewczyna przyjmie postać łabędzicy. Jedynie nocą będzie człowiekiem, by żaden ze śmiertelników nie mógł jej rozpoznać.

– Niech i tak będzie – odparł Szerber, godząc się na los, jaki wybierze Anna.

Jak powiedziała Marzanna, tak się stało.

Anna von Schönebeck obudziła się pewnego majowego dnia. W powietrzu unosił się zapach wiosny. Jabłonie białe, oblepione żółtym pyłkiem pszczoły bzycały, a ptaki trelowały. *Zbyt piękny dzień, żeby zmarnotrawić go na domowe porządki.* Ruszyła do stajni i wsiadła na konia.

Klacz zaprowadziła ją na plażę. Serce dziewczyny zabiło mocniej, gdy ujrzała błękitne wody jeziora Morzycko. Czowała dziwną tęsknotę, lecz nie wiedziała, za czym albo za kim. Zmarszczyła brwi. Rozejrzała się, bo wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje.

– Powinnyśmy wracać. Zaślubiny za kilka godzin. Należy zacząć przygotowania do ceremonii – wyszeptała do konia. Pogłaskała klacz po szyi i zniknęły w gęstwinie.

Szerber uśmiechnął się, widząc swoją ukochaną w tradycyjnej białej sukni. W jej włosy wpleciono kwiaty. Oczy Anny błyszczały, gdy patrzyła na Hasso von Papsteina.

Po ceremonii para młoda zaprowadziła gości na plażę. Anna rozpoczęła swój koncert. Nie pamiętała Szerbera; lecz płynąca z jej serca muzyka nie dała się zwieść urokowi Marzanny. Zawsze kryła się w niej tęsknota za czymś nieznanym.

Poczekam, najdroższa. Będę czekać na ciebie nawet i do końca świata.

Mijały lata. Ludzie odchodzili i przychodzili. Srebrzyły się ich skronie, czas pochylał plecy i rzeźbił w twarzach. Jedynie jezioro Morzycko pozostawało bez zmian. W jego tafli przeglądało się słońce, nimfy wiły się w szuwarach, a ryby pływały w głębinach. Liście złociły się i opadały, by drzewa mogły na nowo przyozdobić się zielenią.

Jedynie jezioro Morzycko pozostawało bez zmian. *Prawie bez zmian.*

Słońce chyliło się ku zachodowi, a Swaróg kończył swój dzienny obchód. Na tafli jeziora unosiły się dwa wtulone w siebie łabędzie. Dryfowały na falach; złączone więzią, o jakiej słyszeli tylko bogowie. Nim rozbłysły gwiazdy, czerń okryła Morzycko. Wieczorną ciszę zmaćił plusk.

Z wody wynurzyła się para kochanków. Dziewczynę oplatała suknia, a za młodzieńcem ciągnęła się biała peleryna. On niósł futerał. Wyszli na plażę i zasiedli na głazie. Dziewczyna wyjęła skrzypce. Czule pogładziła struny. Przyłożyła instrument do ramienia i oparła brodę na drewnie. Spod smyczka popłynęła cudowna muzyka. Młodzieniec leżał u stóp dziewczyny. Wpatrywał się w ukochaną i chłonał ją całą.

Uśmiechali się do siebie. Oboje wiedzieli, że ich szczęście będzie trwać wiecznie.



Magdalena Bieniek
Dyptyk gądnowski II

Był mroźny zimowy wieczór 1795 roku.

Śnieg niczym biała kołdra okrywał senne Gądko. Puchowe zasy sięgały parapetów. Wszystkie okna w siedzibie rodziny von Mülheim były zamknięte, a pokoje wypełniało światło kryształowych świeczników. W kominkach skrzyły się płomienie. Na pierwszym piętrze brzemenna Henrietta von Mülheim kładła się do snu. Pan domu Franz, starosta Chojny, przeglądał dokumenty w swoim gabinecie na parterze.

Szerber lubił podglądać mieszkańców dawnego domostwa Anny. Jednak jeszcze bardziej lubił płać ludziom psikusy. Rezydencja zdawała się pogrążona w półśnie, dlatego postanowił ją rozbudzić. *Komu uprzykrzyć ten wieczór*, zastanawiał się zagrzebany w śnieżnej zaspie.

Dojrzał lekko uchylone drzwi od kuchni. Wślizgnął się do środka i przykucnął ukryty koło kredensu. Gruba kucharka sprzątała po kolacji. Szerber zobaczył na stoliku biały obrus. Zakradł się do niego. Uczynił się niewidzialnym i zwinnym ruchem narzucił materiał na kark. *Czas psot*, pomyślał.

Zaczął postękiwać i unosić się w powietrzu. Wystraszona kobieta wybiegła na dwór, a zadowolony ze swojego figla Szerber wyskoczył za nią z pomieszczenia. Zanosił się salwami śmiechu, gdy kucharka raz po raz wpadała w kolejną zaspę śnieżną. Wreszcie niczym wielka śniegowa kula wytoczyła się na drogę.

Tymczasem spod pozostawionej na palenisku patelni wybuchły płomienie. Ogień pożerał kuchnię, a wkrótce i pozostałą część domostwa. Dym wypełniał kolejne pokoje. W końcu połaskotał nozdrza rozbawionego dowcipnisia. Niestety, gdy Szerber zorientował się, do czego doprowadziły jego figle, pożar dotarł już do pierwszego piętra.

W domu rozległy się krzyki. Szerber ruszył z odsieczą. Wbiegł do kuchni i rozejrzał się po pomieszczeniu. Zewsząd dobiegały kroki i nawoływania. Chciał przy pomocy swojego mroźnego oddechu ugasić pożar, jednak obawiał się, że zrobi krzywdę domownikom. Domyślił się, że służba wraz ze starostą starała się dotrzeć na pierwsze piętro, gdzie uwięziona została pani domu.

Szerber przybrał postać łasicy. Wdrapał się na dach, aby przez komin dostać się do sypialni Henrietty. Jego drobne pazurki ślizgały się po zmarzniętych murach. Jeden z nich ugrzązł w kamieniu. Szerber syknął. *Nie ma czasu*. Wyszarpał łapkę, odrywając pazurek. Krople krwi naznaczyły śnieg. Wślizgnął się przez komin wprost do komnaty pani domu.

Zmitrężyłem zbyt wiele czasu, pomyślał, widząc dwa leżące na podłodze ciała. Szerber ponownie zamienił się w człowieka. *Najwyraźniej pan starosta dotarł do żony i nienarodzonego dziecka*. Ukłęknął przy domownikach. *Resztkami sił osłonił ich własnym*

ciałem przed ogniem. Poczul drapanie w gardle, które mogło być spowodowane wdychaniem dymu, lecz również żalem.

Wtedy klatka piersiowa Henrietty nieznacznie się uniosła. Szerber otarł twarz. Przerzucił przez ramię małżeństwo von Mülheim i ruszył ku wyjściu. Drogę torował swoim mroźnym oddechem. Gdy wywłókł ich na zewnątrz i upewnił się, że wszyscy ludzie uciekli z domu, ugasił pożar lodowym powietrzem. Choć zdjął z barków małżeństwo, nadal odczuwał na nich niewyobrażalny ciężar.

Jak przez mgłę widziała białą postać, która chwyciła ją drobnymi, ale silnymi dłońmi, a potem wyniosła z płonącego domostwa na dziedziniec. Rozpłynęła się w powietrzu, nim Henrietta zdążyła zapytać się o imię wybawiciela. Widziała poparzone ciało męża i krzątającą się przy nich służbę. Jej nic się nie stało; drażnił ją tylko zaległy w płucach dym.

Przyklękła przy ukochanym. Oddychał z trudem. Spojrzała na ich dom. Tam, gdzie przed chwilą były płomienie, niczym lodowy pałac, w świetle księżyca skrzyły się jego zgliszcza.

Nie mieli dokąd wrócić.

Nagle poczuła silny ból brzucha i ciepła strużka cieczy popłynęła po jej udach. *Boże, nie teraz.* Dziecko miało przyjść na świat dopiero za kilkanaście dni. Wiedziała, że nie mogą czekać na mrozie na lekarza. Zbyt wiele czasu zajęłoby służbie sprowadzenie pomocy.

– Szykować powóz do Zielina – odparła silnym jak dzwon głosem. – Henryku, pędź z wiadomością do Karla von Knobelsdorfa. Zapowiedz nasz przyjazd. – Jej mąż jęczał i zwiijał się z bólu. – Potrzebujemy natychmiastowej pomocy doktora.

Ujęła dłoń Franza, uważając, by nie dotknąć pokrywających skórę pęcherzy. Starosta wpatrywał się w niebo.

– Najdroższa, widziałem go. Tego białego potwora. Wypełzył ze swej jamy i zasiał spustoszenie.

Majaczy. Nawdychał się dymu i postradał zmysły. Woźnica podjechał. Służba ułożyła Franza na jednej z ławek, podczas gdy Henrietta z pokojówką usiadły po przeciwnej stronie. Ruszyli w drogę, gnając naprzeciw przeznaczeniu.

Skurcze nasilały się. To było pierwsze dziecko Henrietty. Myślała, że poród potrwa na tyle długo, że zdążą dojechać do Zielina. Jednak, jak zwykle się mówić, jej szerokie biodra stworzono do rodzenia. Młodemu dziedzicowi śpieszyło się na świat. Służąca pomogła ciężarnej przyjąć wygodną pozycję. Henrietta widziała jak z każdym wstrząsem, wywołanym

nierównym podłożem, przez ciało Franza przechodziła fala bólu. Aby dodać jej otuchy, starosta ostatkiem sił czule pochwycił dłoń małżonki. Służąca krzyczała:

– Proszę pani, widzę główkę. Proszę, przec. – Henrietta posłuchała, bo cóż innego mogła uczynić? Zamknęła oczy i modliła się, by wszystko jak najszybciej się skończyło. Wydawało jej się, że słyszy drapanie niewielkich pazurków o dach powozu. – Jeszcze raz, proszę pani – wyszeptala służąca. – Znakomicie pani sobie radzi. Pozostał ostatni raz.

W karecie rozległ się krzyk nowo narodzonego chłopca oraz westchnienia wdzięcznych rodziców. Malec miał burzę kruczoczarnych włosów i był wszystkim, o czym marzyło małżeństwo von Mülheim. Służąca otuliła dziecko ciepłym kocem i podała matce. Ta mocno przytuliła maleństwo i pochyliła się w stronę męża.

– Zobacz, najdroższy. To nasz mały Friedrich.

Franz delikatnie uniósł kąciki ust. Zmarszczki na jego twarzy wyprostowały się. Ostatni raz uściśnął dłoń żony. Mgliste, kochające oczy ojca spojrzały na syna, a potem zamknęły się na wieki.

Szerber długo obwinał się za tragedię, która spotkała ród von Mülheim. Jego głupi żart kosztował życie ojca rodziny i odmienił ich losy. Co prawda, starosta był zapobiegliwym człowiekiem i zatroszczył się o przyszłość swoich najbliższych. Po tragicznej śmierci Franza Henriettą i małym Friedrichem zaopiekował się przyjaciel rodziny, Karl von Knobelsdorf. Niebawem wdowa, odbywszy okres żałoby, wyszła za niego za mąż.

Szerber czuł się odpowiedzialny za młodego dziedzica. Często zaglądał do niego do Zielina. Widział pierwszą jazdę chłopca na kucyku, znał jego ulubione danie i piosenkę, którą matka nuciła mu do snu. Czasami jako łasica przemykał przy małym Friedrichu; chłopiec zawsze uśmiechał się na jego widok.

Choć mieszkali w Zielinie, Henrietta przyciągana wspomnieniami swojego dawnego życia wraz z synem przyjeżdżała do starego domostwa. Szerber zawsze obserwował ich z ukrycia.

W pewien gorący, parny dzień Henrietta ze swoimi dziećmi, pięcioletnim Friedrichem i dwuletnią Idą, leżała na piaszczystej plaży w Gądnie. Często przyjeżdżali tutaj wraz ze służbą na pikniki. Zejście do wody było bardzo płytkie, co czyniło to miejsce idealnym kąpieliskiem dla dzieci. Wysokie kasztanowce okrywały cieniem, dając wytchnienie od upału.

Henrietta opowiadała bajkę o śpiącej królownie. Ida marudziła, ponieważ wychodziły jej kolejne ząbki. Wtuliła się w pierś matki i zasnęła. Bojąc się obudzić córkę, Henrietta nadal

snęła swoją opowieść. W pewnym momencie zorientowała się, że Friedrich zniknął. Rozejrzała się. Nie było go na plaży ani w wodzie.

– Friedrichu! Synku! – wołała. – Wracaj do mamusi!

W tym czasie na tafli jeziora wylądowały dwa łabędzie. Zaczęły nurkować w wodzie, jakby czegoś szukały. Na plaży zebrali się wieśniacy i dołączyli do poszukiwań małego dziedzica.

Szerber zorientował się, że Friedricha nie było pod wodą. Przemieniwszy się w łasicę, ruszył w stronę parku. Stał na przednich łapkach i niuchał w poszukiwaniu znajomego zapachu chłopca. Nagle usłyszał ciche kwilenie. Ruszył w tamtym kierunku. Okazało się, że hałas dobiegał z lisiej nory.

Ostrożnie wszedł do środka. Zobaczył bosc stópki chłopca. Im więcej malec się poruszał, tym bardziej ziemia obsuwała się na niego. Na szczęście sklepienie nory stanowiła płatanina korzeni. W przeciwnym razie korytarz mógł się zawalić.

Szerber zmienił się w małego chłopca i delikatnie chwycił za kostki Friedricha. Stopniowo zaczął go wyciągać z jamy.

Co go podkusiło, aby wlażyć do nory w poszukiwaniu krasnoludków? Wydawało mu się, że ruda broda mignęła w ciemnej dziurze. Teraz leżał uwięziony w ciemnościach. Nagle poczuł, że coś zimnego złapało go za stopy i wyciągało z tego mrocznego lochu. *Czy to czarownica, która chce mnie pożreć?* Musiał być dzielny jak zawsze. Nie mógł się rozplakać.

Okazało się, że uratował go dziwny, białowłosy chłopiec. Był w wieku Friedricha. Miał straszne, czerwone oczy. *Jak u mojego białego królika.* Pomimo strachu, jaki czuł, nieznajomy wzbudził w nim sympatię.

– Chodź – wyciągnął zimną dłoń – zaprowadzę cię do mamy.

Friedrich ujął rękę chłopca. Czuł pewną więź, która łączyła go z wybawcą. Ruszyli przez park. Friedrich cały czas kątem oka przyglądał się nieznajomemu.

– A wiesz, że kiedyś tu był zatopiony pałac? – zapytał białowłosy chłopiec. Uśmiechał się pod nosem, jakby myślał o psikusach. – Bo ja wiem. Sam tam mieszkałem.

– Też mieszkam w pałacu – pochwalił się Friedrich. Wypiął pierś i uniósł do góry brodę. Nieznajomy nie odpowiedział. – A jak się mieszka w zatopionym pałacu?

– Zupełnie tak, jak w suchym. A może i lepiej.

– Ale tam wszędzie jest woda.

Nieznajomy skinął głową. Doszli na skraj parku.

– Bystry z ciebie chłopiec.

– Friedrich. Nazywam się Friedrich.

– Muszę wracać. – Nieznajomy zatrzymał się. Zmarszczył czoło. – Może moglibyśmy się kiedyś pobawić? – Friedrich gorliwie pokiwał głową. Uśmiechnął się, prezentując braki w uzębieniu. – To ten, do następnego!

Nieznajomy zniknął w gęstwinie. Friedrichowi wydawało się, że zauważył w krzakach białą łasicę.

– Nie wiem, jak masz na imię! – zawołał za chłopcem.

Wiatr poruszył drzewami, a liście zaszumiały. *Szerber, Szerber, Szerber*, szeptał park. Friedrich poczuł zimne igielki wzdłuż kręgosłupa. Gęsia skórka pokryła kark i rączki chłopca. Wycofał się, nie spuszczając wzroku z gęstwiny, w której zniknął nieznajomy. Słyszał od służby opowieści o straszliwym, białym upiorze. Ponoć wciągał pod wodę ludzi i prowadził ich do swojego...

Friedrich przełknął głośno ślinę. Ruszył biegiem na plażę. Czuł, że ktoś go obserwuje. *Szerber, Szerber, Szerber*, zgrzytał piach pod jego stópkami. Dobiegł do mamy i rzucił się w jej objęcia. Postanowił, że spotkanie z tajemniczym nieznajomym zachowa dla siebie.

Gdy tylko był w Gądnie, Friedrich starał się, chociaż na chwilę wymknąć do swojego dziwnego przyjaciela. Chłopcy stali się niczym bracia. Często wokół jeziora urządzali wyścigi na swoich rumakach. Szerber miał pięknego, białego ogiera, a on czarnego, pełnej krwi araba.

Chłopiec czuł, że Szerber to prastary byt. Znał tyle ciekawych historii o stworach i wydarzeniach mających tu niegdyś miejsce. Nie wszystkie opowieści były przyjemne, po niektórych Friedrich nie mógł spać w nocy. Jednak wiedział, że jego dziwny przyjaciel miał dobre serce.

Pewnego razu Szerber opowiedział mu o straszliwej nocy, gdy w starej posiadłości w Gądnie wybuchł pożar i jak po tamtym zdarzeniu otoczył go opieką.

Czy to dlatego Friedricha od zawsze wzywało Gądnio? Był ostatnim z rodu von Mülheim; tam znajdowała się jego siedziba rodowa. Czuł magię tego miejsca. Pod wpływem historii Szerbera chciał w przyszłości na zgliszczach starego domostwa wybudować pałac z opowieści przyjaciela.

Wraz z Idą często zapuszczali się w te okolice. Oboje lubili przebywać w Gądnie. Gdy on wraz z Szerberem szukali pamiątek przeszłości, dziewczyna siedziała pod lipą i czytała powieści albo prowadziła filozoficzne rozmyślania. Często ku uciesze Szerbera zabierała flet i wraz z leśnym ptactwem urządziła koncert.

Lata mijały. Przyjaciele dzielili troski, smutki i radości. Friedrichowi przybywało zmarszczek na twarzy. W oczach dogasał niegdyś tłący się ogień. Czas płynął nieubłaganie, a przyjaciele nadal byli nierozłączni.

Friedrich i Szerber siedzieli na plaży. Zagrzebali stopy w ciepłym piasku. Delikatny wiatr marszczył tafłę jeziora Morzycko.

– Chciałbym go zobaczyć – odezwał się Friedrich. – Zatopiony pałac. Śnię o nim, ale zawsze mu czegoś brakuje.

– Kiedyś cię do niego zaprowadzę – wyszeptał Szerber. Opuścił wzrok na piasek, nie chcąc, by przyjaciel zauważył kwitnące w jego oczach łzy.

Zapadał ciepły wieczór. Chory Friedrich wraz z Szerberem siedzieli na pałacowej werandzie. Z parku dobiegały ptasie trele, które umilkły, gdy z sali balowej popłynęły dźwięki „Sonaty Księżycowej” Ludwiga van Beethovena. To jego siostrzenica – Henrietta rozpoczęła nocny koncert. Gdy tylko zaniemógł, Ida wysłała swoją córkę, aby ta opiekowała się chorym wujkiem.

On nigdy się nie ożenił – swoją miłością obdarzył konie i tę piękną rezydencję. Wraz z Szerberem odtworzyli pałac ze wspomnień przyjaciela. Wejścia pilnowały dwa mityczne, marmurowe gryfy, a na odwiedzających zerkwały czczone dawniej boginie. Nad wejściem głównym umieścili dwa orły, które symbolizowały nowy początek. Ptak jako przywódca wszystkich skrzydlatych stworzeń latał wyżej niż jakakolwiek inna istota, dzięki czemu łączył człowieka ze starymi bogami. Friedrich żartował, że orły powinni być jak oni – jeden z białego selenitu, a drugi z czarnego obsydianu. Ściany pałacu zdobiły liczne roślinne ornamenty, gryfy, cherubiny i malowidła przedstawiające sceny z opowieści jego przyjaciela. Kolorystyka była delikatna. Przeważały biele i błękity, niczym lód i woda, które miłował Szerber.

Marzenie Friedricha o rodowej siedzibie spełniło się. Martwił się tylko, że nie pozostawił dziedzica. Wiedział jednak, że siostrzenica zadba o jego skarb. Ją również urzekła magia tego miejsca.

Z rozmyślań wyrwał go głos Szerbera, który jak zawsze odgadł myśli przyjaciela.

– Nie martw się, mój ukochany druhu. – Złożył dłoń na ramieniu Friedricha. – Zawsze będę strzegł pałacu i twojej rodziny. Zaopiekuję się Henriettą. Przy mnie będzie bezpieczna.

Friedrich skinął głową. Wiedział, że Szerber pozostanie wierny swoim słowom.

Szerber po raz ostatni spojrział na spokojną twarz Friedricha. Odgarnął z czoła kosmyk kruczoczarnych włosów. Ucałował zimne usta przyjaciela. Zamknął wieko ciężkiej jak jego brzemię trumny, którą uprzednio ustawił na dwunastu dębowych krzesłach.

Gdy przed wieloma laty na zgliszczach starej rezydencji rodziny von Mülheim rozpoczęli budowę pałacu, Szerber dokopał się znacznie głębiej – aż do samego serca swego podwodnego zamku. Tam stworzył specjalną komnatę, gdzie złożył ciało człowieka, którego kochał braterską miłością – ostatniego z rodu von Mülheim, a przede wszystkim swojego najlepszego przyjaciela.



Natalia Bieniek
Cztery na pięć gwiazdek

Powrócił jak zawsze, gdy się pogubił.

Pałac w Gądnie nie zmienił się ani odrobinę. *Te same cegły, pajęczyny i cienie.* Tynk w barwie kości słoniowej osiadł na porastających ziemię chwastach. Mgła sączyła się do wnętrza przez dziury w ścianach. Strzegące bramę gryfy przechadzały się wzdłuż ogrodzenia. Pałac stał i straszyl, bo tak miało być. Przybysz przypomniał sobie recenzje hotelu:

„Odrażający, wstrętny, a co najważniejsze potworny. Przed wejściem porzućcie moralność i przyzwoitość. To miejsce, w którym każdy świętoszek zmienia się w rozpustnika, a dusigrosz w rozrzutnika”.

„Koniecznie odwiedźcie to miejsce z całą rodziną. Mają basen z piraniami, przytulną salę tortur oraz labirynt naszpikowany morderczymi zasadzkami. Zabawa po wsze czasy gwarantowana!”

„Hotel był okej. Zdecydowanie zasługuje na 4/5 gwiazdek”.

Przybysz wykrzywił usta w uśmiechu. Narzucił na plecy niewielki tobołek, w którym miał cały swój dobytek – odrobinę zmartwień i dużo rozczarowania. Przeciął dziedziniec. Osty drapały go w łydki. Buty mlaskały w błocie. *Mlask, mlask, mlask, mlask.* Pokonał szerokie schody, pamiętając, by nie stawać na przedostatnim, zwalniającym zapadnię do piwnicy schodku.

Chuchnął w dłonie. Drobiniki lodu osiadły na jego palcach. Przeczesał włosy. Wyciągnął rzep przyczepiony do rąbka białego płaszcza. Ostatni raz, przed przekroczeniem progu, zerknął przez ramię.

Na niebie osadziły się zielone chmury, z których padał delikatny kwaśny deszczyk, dziurawiąc obumarłe rośliny. Cisza zagnieździła się w eterze i nie chciała odejść. Powietrze wibrowało za sprawą wyładowań elektrycznych gdzieś w oddali. *Idealny dzień na psikusy,* pomyślał.

Delikatnie przekręcił klamkę. Drzwi zaskrzypiały, zawiadamiając obsługę hotelu o gościu. Do jego uszu dotarło szuranie i przekleństwa, których nie powstydziliby się żaden szewc. Wszedł do holu. Połknęła go ciemność, z którą walczyły łojowe świece ustawione w kandelabrach. Rozejrzał się. Nic się nie zmieniło. *Dom, słodki dom.* Nadal pachniało desperacją, destrukcją, dewastacją i deprawacją. Nadal pachniało tym, co najlepsze.

Przeszedł przez pomieszczenie. Kłaczki z dywanu przyklejały się do ubłoconych butów. Przystanął przy hebanowym biurku i odchrząknął.

Za ladą recepcji zasiadała gnijąca kobieta. Spojrzał na plakietkę z imieniem. Jej większą część pokrywała pleśń i nie był pewien, czy imię kobiety brzmiało „Brytfanna”, „Sutanna” czy „Fontanna”. Zawsze nazywali ją po prostu Anną.

– Witaj w ostatnim hotelu na świecie, Pałacu w Gądnie – zaczęła. Mówiła powoli, nie unosząc wzroku znad krzyżówki. – Rozgość się, zagubiona duszo, w naszych skromnych progach. Niech ciemność będzie z tobą.

– Liczyłem na cieplejsze powitanie.

Recepcjonistka uniosła głowę. Skórę miała zieloną jak szpinak. Z oczodołów zamiast oczu wyzierała czerń. Przez dziury w policzkach prześwitywały braki w uzębieniu. Anna pociągnęła pozostałością nosa.

– Ach, to ty. Dawno cię nie widziałam.

– Wyglądasz kwitnąco.

– Mówisz? Odbyłam krótką kurację w Morzycku – odparła, nawijając na palec kosmyk wodorostów.

– Nadal najpiękniejsza.

– I tak pozostanie na zawsze. – Rozciągnęła wargi w uśmiechu.

– Odrobinę się pogubiłem.

– Mhm. Na szczęście wszystkie drogi prowadzą do Gądna – zawyrokowała. Puściłaby oczko, gdyby którekolwiek jej pozostało.

– Mój pokój jest wolny?

– Nawet w zeszłym stuleciu zmieniałam tam pościel.

– Znakomicie.

Wyciągnął z kieszeni niewielką srebrną monetę. Na rewersie i awersie miała dawno zapomniane symbole. Podał pieniążek recepcjonistce. Uniosła monetę do nikłego światła świec i wysunęła rozdwojony język. Oblizwała pieniążek. Zastygła.

– Widzę, że powodzi ci się bez nas.

– W siódmym wieku naszej ery wszedłem w interesy z leprechaunami.

– Mhm. – Połknęła monetę. Metal przepłynął przez przelyk Anny. – Opłata przyjęta. Powinnam zaprowadzić cię do pokoju?

– Nie chciałbym cię kłopotać.

– I słusznie. – Powróciła do krzyżówki. – Dobrze, że wróciłeś, Szerberze. Brakowało nam twoich psot. A poza tym... spadła nam ocena.

– Czytałem. Tylko cztery na pięć gwiazdek. Pieszczota w serce. – Wykrzywił twarz, jakby zjadł cytrynę. – Może fortuna ponownie się do nas uśmiechnie.

Odpowiedziało mu ciche skrobanie piórem o kartkę.

Podreptał korytarzem. Przystanął przed każdą z dwóch wnęk i wymienił uprzejmości z okaleczonymi posągami dawnych bogiń. Ze zdobiących ściany obrazów spoglądały rozmaite

stwory i stworki. Gdy mijał ten przedstawiający pobliskie jezioro, potwór z Morzycka wyciągnął szczypce, by uszczypnąć go w policzek.

– Nie tym razem, Raku. Zabawimy się kiedy indziej, stary druhu.

Usłyszał chłopot, który oznaczał, że Rak zanurzył się w wodzie. Szerber zwolnił krok. Skradając się, przeszedł obok ostatnich drzwi, które dzieliły go od jego komnaty.

– Podejdz, chłopcze. – Głos przypominał skrobanie paznokciami po tablicy. – Stęskniłam się za twoim bladym obliczem.

Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Babka mieszała w kotle, a każdy wiedział, że gdy Babka mieszała w kotle to lepiej jej nie przeszkadzać. Jednak sama go wzywała. Szerber westchnął. Ogniste włosy spięła na czubku głowy klamrą z pająka. Ramiona okryła pajęczynową peleryną. Twarz miała ni starą, ni młodą, bo z Babką nigdy nic nie wiadomo.

Szerber poznał ją, gdy powstawały pierwsze cywilizacje. Nazywali ją Królową Iluzji, Trucicielką, Tańczącą z Wilkami czy Panią Śmierci. Jednak sama przedstawiała się jako Babka. Tak było zawsze, i tak zostało. Szerber nie wiedział, czy miała dziatki ani, czy jej dziatki miały swoje dziatki; ale nigdy nie pytał, bo byłoby to zwyczajnie nieuprzejme.

Spojrzał na Babkę, która przez te wszystkie lata, gdy nie było go w domu, jakby przygasła i przygarbiła się; jakby zawierała w sobie więcej suchości i kruchości; jakby czas jednak upływał i niszczył nawet takich gigantów jak ona. Tylko stalowe oczy wpatrywały się w niego równie intensywnie jak zawsze.

Z kotła wyłoniła się koścista ręka. Babka zmarszczyła perkaty nasek. Uderzyła chochlą w nadgarstek, wpychając nieposłuszny składnik do naczynia i ponownie zamieszała.

– Za życia również był krnąbrny – westchnęła, a siwy dym wyleciał z jej ust.

– Kalafiorowa? – Pociągnął nosem. – Pachnie ohydnie. – Oblizał blade wargi.

– Gdzie bywałeś?

– Londyn, 1666. Nowy Jork, 2001. Opiekałem kiełbaski, gdy płonął Rzym i wrzuciłem do wody kilka skrzyń z herbatą w Bostonie. Różne takie. – Wzruszył ramionami. – Ludzie to mieli rozrywki. Nic dziwnego, że praktycznie wyginęli.

Babka skinęła głową. Jej kości zaskrzypiały.

– Żadnych kłopotów? Nikt cię nie niepokoił?

– Zgubiłem się w 2020 i musiałem wrócić do domu. Dziwną tam mają modę. Twarze skrywają za maskami i uciekają przed własnym cieniem. Śmierdziało od nich samotnością i bezradnością.

– Mój, niegrzeczny chłopczyk. – Ucałowała go w oba policzki. Wargi miała suche, a kąciaki ust spękane. – Na jak długo wróciłeś? Co dalej planujesz?

– Cztery na pięć gwiazdek... Musimy coś z tym zrobić.

Babka wpatrywała się w Szerbera. Z jej prawego nozdrza wyłonił się czarny pajęczek.

– Nie będę ukrywać. Nadchodzą zmiany. Widziałam to dziś w kotle. Podejdz. – Wyciągnęła do niego suchą dłoń. Ujął ją delikatnie, bojąc się, że odpadnie.

Z kotła parowało. Opary układały się w powietrzu w znaki, które jedynie Babka potrafiła odczytać. Szerber nie rozpoznawał również zapachu. Musiał być stary, może nawet starszy od samej Ziemi. Miał w sobie nutę wiedzy i esencję mądrości.

– Przybędą zmiany. Czuję to w kościach i widzę w... kościach – mruknęła, ponownie uderzając chochlą w rękę, która kurczowo trzymała się brzegu kotła. – Uparte stworzenie... Ach, tak. Nic nie jest na swoim miejscu... – odchrząknęła. Zamieszała w naczyniu, a wtedy Szerber również to zobaczył. – Nadchodzi nowe, choć jednak stare. Już niebawem.

– Niech Babka się nie martwi. Damy sobie radę ze wszystkim.

Jednak stalowe oczy nadal wpatrywały się w zawartość kotła.

– Możesz się oddalić, Szerberze. Zbieraj siły, bowiem niebawem będą potrzebne.

Spełnił żądanie Babki i skierował się do swojej komnaty. Otworzył drzwi. Owiała go woń stęchlizny i rozkładu. Wszedł do środka i zrzucił tobolek na pokrytą kurzem posadzkę.

– A więc to phawda, że whóciłeś. – Spiczaste zęby błysnęłyby, gdyby w pokoju nie panowała nieprzenikniona ciemność. – Czekaliśmy na ciebie. – Vampyra poklepała drzwi stojącej w kącie żelaznej dziewicy.

– Przytulnie jak zawsze – mruknął.

– Nic się nie zmieniłeś. – Rozwiała się w chmurę mgły. Chwilę później stała obok niego. Ujęła jego dłoń. – Tak hozkosznie bladi, tak chłodni, z hubinowimi oczami i khwią tętniącą w żyłach. – Oblizwała wargi. – Stęskniłam się.

– Próżnowałaś – skarcił ją. Odsunął się.

– Pszeganiałam kotki kusu z jednego kąta do drugiego, pophawiałam sploti pajęczin i nie kahmiłam pihanii. Tak jak Babka pszikazała.

– A jednak cztery na pięć...

– Nic nie pohadzę, że gust naszych gości się pophawił.

Pierwsze promienie fioletowego słońca wyjrzały zza kotar. Vampyra syknęła. Wycofała się w głęboki cień i zastygła jak posąg.

– Na mnie jusz poha – westchnęła.

– Kolorowych koszmarów – wyszeptał.

– Kahaluchi pod poduchi.

Z pewnością. Ułożył się na łożu. Kolce rozkosznie drapały go w plecy. *Dom, słodki dom.* I odpłynął.

Szerber spędzał dni na płataniu psikusów. Ciągał za ogony gryfy, podkradał krzyżówki Annie, domalowywał wąsy na obrazach. W wolnych chwilach spał. I właśnie z jednej z drzemek w promieniach księżycy obudził go skrzek Babki.

– No, może jeszcze więcej?

– Czego?

– Śmiertelników.

– Nie, dziękuję. Już jadłem. – Szerber poklepał się po zapadłym brzuchu.

– Nie bądź taki dowcipny, mój zgniły chłopcze. Za tobą zawsze kroczą kłopoty.

– Tym razem nic nie zrobiłem. Słowo grzesznika i kłamcy!

Brwi Babki zawędrowały pod samo czoło.

– Zapewne przyciągnął ich twój urok osobisty.

– I świetne poczucie humoru. – Błysnął zębami. – Gdzie oni są?

– Niebawem przybędą. Wyczuwam ich smród. – Skrzywiła się. – Pachnie jak wola życia.

Szerber wzdrygnął się.

– Wykurzyć ich?

– Zrób to, co potrafisz najlepiej.

Westchnął. Po długim dniu pływania z piraniami pragnął odrobiny wypoczynku – krwawą mary z parasolką, półmisek glizd, wylegiwanie się w promieniach księżycy. *Czasami nawet potwory zaskują na wakacje.*

Jednak nie zdążył wyjść z pałacu, bowiem złapała go Anna.

– Alarm! Alarm! Mamy gości!

Recepcjonistka pociągnęła go wzdłuż korytarza. Wolną dłonią dotykała ściany, by odnaleźć drogę do sali balowej, która stanowiła swoiste miejsce obrad. Anna co chwila potykała się o poskręcany dywan. Wreszcie dotarli na miejsce. Szerber uśmiechnął się, widząc zebranych mieszkańców Pałacu w Gądnie. *Dom, słodki dom.*

– Ilu ich jest? – zapytał.

– Trzech. Dwie niewiasty i jeden mąż. On jest wielki jak dąb, a one podobne jak dwie krople krwi – zreferował największy z gryfów.

– Śmiehtelnici. – Vampyra dyszała przy ścianie, trzymając się w miejscu, w którym powinna mieć serce. – Ukathupią nas.

– Obawiam się, że to nie do końca możliwe – zauważył uprzejmie Szerber.

– I co teraz zrobimy? – zapytała Anna.

– To, co zawsze – odparła Babka, otrzepując pokryte mąką dłonie.

Zgromadzeni wymienili spojrzenia. Chaos opanował salę balową. Jako pierwsza schowała się Vampyra, za nią ruszyły skamieniałe boginie, a potem z podkulonymi ogonami uciekły gryfy. Pozostała Anna, która na oślep nie mogła trafić w drzwi, a także Babka i Szerber.

– Nie do końca to miałam na myśli – westchnęła czarownica. Zwróciła się do Szerbera. – Przyjmiesz ich, mój okrutniku. Przyjmiesz ich i zrobisz wszystko, żeby wystawili nam pozytywną recenzję. – Szerber spojrział na Babkę. – Potrzebujemy tej piątej gwiazdki. To ostatni hotel na świecie. Wszędzie krążą hordy wygłodniałych zombie, które chętnie zagłębią się w połać spróchniałej ziemi, watahy wilkołaków pragnące oszczędzić się w wystarczająco zachwaszczonych gęstwinach i chmary wampirów, łaknące własnej belki sufitowej. Niech wieść się niesie. Muszą wiedzieć, gdzie jest ostatni bezpieczny azyl.

– Nie sądzę, żeby pozytywna recenzja od śmiertelników zachęciła do nas najdroższe szkaradztwa tego świata.

– Musimy spróbować.

I jeśli Babka tak powiedziała – rozkaz trzeba było wykonać.

Szerber pokłonił się. Zaszleścił płaszczem i ruszył z całą swoją upiornością, by powitać przybyszy. Po drodze nie znalazł żadnej martwej duszy, jedynie u wrót czekała na niego Vampyra. Wręczyła mu niewielki nożyk.

– Na szczęście. Jakbi się zbitnio napszikowali.

Odeszła w cień. Czuł jej rubinowe ślepia wlepione w plecy. Otworzył wrota i natychmiast je zamknął. Serce tłukło mu w piersi, a blade lico stało się jeszcze bledsze. Ciało Szerbera oblał zimny pot.

Wiedział, że śmiertelnicy taki stan nazywają „atakami paniki”. Sam często był sprawcą podobnego zjawiska, jednak nigdy nie doświadczył czegoś tak dziwnego. Nie wiedział, czy podobało mu się uczucie rozbicia i przerażenia, jednak był pewien, że nie podobało mu się to, co zobaczył. Na końcu korytarza pojawiła się Babka. Jedno spojrzenie na twarz Szerbera wystarczyło, żeby poznała całą prawdę.

– Znasz ich.

– Widywałem przelotnie. Porządkowali. – Zadrzały mu dłonie. – Sadzili i pielęgowali roślinność. – Przełknął ślinę, bowiem w gardle zaległa mu suchość. – Odbudowywali. Ściany ustawili, cegła po cegle, dach zreperowali, a ściany pomalowali i...

– Ani słowa więcej – załkała skryta w mroku Vampyra. – Thagedia...

– Zaiste, me upiorne dziecko. Nasz hotel został przez nich doprowadzony do okropnego stanu. Dopiero my, przywróciliśmy mu dawną świetność. – Wskazała sękatym palcem Szerbera. – Przyjmiemy ich z należyтым szacunkiem. To potężne i niebezpieczne istoty. Musimy wysłuchać ich żądań.

Szerber otworzył wrota i wyszedł na dwór. Gryfy siedziały u stóp schodów. Poruszały nerwowo ogonami. Klasnął w dłonie. Brama przyjemnie zaskrzypiała, stawiając wszystkim włoski na ciele. Szerber rozłożył ręce i ukazał w uśmiechu wszystkie ostre zęby.

– Witajcie w ostatnim hotelu na świecie. W Pałacu w Gądnie zawsze znajdziecie swój spróchniały kawałek podłogi. – Pokłonił się przed przybyszami. – Wejdźcie do środka i pozwólcie, by otulił was mrok naszej rezydencji.

– Który mamy rok? – zapytał dzierżący teczkę mężczyzna. Szerber zamyślił się.

– Minęło 2517 lat od pierwszej wyprawy krzyżowej albo 2137 od upadku Draculi. Zależnie od kalendarza.

– Tak jak wynikało z naszych obliczeń. – Nieznajomi pokiwali głowami.

Ruszyli ku rezydencji. Gryfy uciekły w pobliskie gęstwiny. Szerber obserwował, jak przybysze bez przeszkód pokonują grząskie bagno, uchylają się przed piraniami, omijają zapadnię na schodach. Stanęli przed nim i unieśli brwi. Przełknął ślinę.

Wskazał wrota i pozwolił, by weszli jako pierwsi. Rozejrzał się po dziedzińcu, jakby spodziewał się kolejnej niespodzianki. Gdy wrócił do środka, spostrzegł, że nieznajomi zniknęli. Fala gorąca nieprzyjemnie rozgrzała jego zmrożoną krew. Ściany zwężyły się odrobinę, a sufit...

– Szebesze – syknęła ciemność. – Do jadalni. Tehaz.

Podążył we wskazane miejsce i zastał isticie osobliwą scenę. Spróchniały stół pokrywał dziurawy, poplamiony obrus. Wszyscy siedzieli na wysokich krzesłach; te, którym brakowało nóg – unosiły się w powietrzu. Łojowe świece rozświetlały twarze i migotały w szeroko rozwartych oczach zebranych. Nawet czarne oczodoły Anny zdawały się gorzeć wewnętrznym blaskiem.

Babka zasiadała u szczytu stołu. Jej pajęcza klamra wyglądała jak korona. Szerber spoczął na wolnym krześle, pomiędzy kamiennymi boginiami.

– Przyrządziłam tarty z tajemnym farszem. Każdy gość bardzo je chwali. To specjał mojej kuchni.

Goście przyglądali się przypalonemu ciastu, spod którego wystawały nadgniłe palce. Szerberowi ślina napłynęła do ust.

– Nie będziemy marnować cennego czasu. Powód naszego przybycia jest prosty – odezwała się starsza z przybyłych kobiet.

Wlepiła wzrok w Babkę. Szerber przysiągłby, że czarownica skuliła się pod tym spojrzeniem. *Jaka moc drzemie w tych istotach*, zastanawiał się, spoglądając na przybyszy.

– To nasz pałac – odparła nieznajoma, jakby wygłaszała znaną wszystkim prawdę.

– Obawiam się, że jesteś w błędzie, śmiertelna pani. – Babka uśmiechnęła się promiennie, jak podczas rozmowy z psocącym dzieckiem.

Mężczyzna położył teczkę na stół. Wyciągnął z niej pewien dokument i podsunął go Babce. Wszyscy pochylili się, by przeczytać dziwne szlaczki.

– Kupiłam ten pałac już w 2018. Aż po dziś dzień należy do mnie. – Nieznajoma poprawiła się na krześle. – Pozostają wam dwa wyjścia. Odejdziecie stąd, a wasze ciała rozpuszczą kwaśne deszcze albo... będziecie dla mnie pracować.

– Chyba nie do końca taki był plan – szepnął Szerber. Babka westchnęła.

– Na jakich warunkach miałyby wyglądać nasza współpraca?

Młodsza kobieta powstała. Wyciągnęła z teczki rulon. Rozwiązała tasiemkę okalającą papier, który niby wodospad rozwinął się po stole. Dotarł aż pod perkaty nasek Babki.

– Podpiszcie to.

– Khwią?

– Czymkolwiek – wtrącił mężczyzna. – Byle czytelnie, żeby w urzędzie wszystko się zgadzało.

Babka chwyciła dokument. Nieśpiesznie przeczytała go kilkakrotnie. Mruczała pod nosem niezrozumiałe słowa. Wreszcie uniosła wzrok. Splotła sękate dłonie na kolanach.

– Trwa koniec świata. Ostatnie ludzkie osady trawią choroby i zawiść. Nasi pobratymcy stali się terytorialni i rzadko wybierają się na wakacje. Mogliście przenieść się do 2121, kiedy błękitne niebo przecinały samochody albo 2488, gdy mieszkaliście w chmurach. Dlaczego upomnieliście się o hotel w tym stuleciu?

Śmiertelnicy wyszczerzyli zęby, a każdy, kto na nich spoglądał, skulił się ze strachu.

– Czytaliśmy o was same pozytywne recenzje.

Tak oto rozpoczęła się współpraca między przybyszami z przeszłości a mieszkańcami Pałacu w Gądnie. Upiory straszyły, ludzie demolowali – każda rasa robiła to, co potrafiła najlepiej. Niebawem pokoje, piwnice, strych i zarośla wypełniły się gośćmi. Po korytarzach latały nietoperze, gęste cienie kłębiły się w kątach, a krzyki bólu i ekstazy wypełniały powietrze.

– To koniec – odparła pewnego dnia Babka.

Wszyscy wypelzli na dziedziniec, by pomachać przybyszom na pożegnanie. Księżyc wisiał nad Pałacem w Gądnie, oświetlając całą jego potworność. Podziwiali owoce swojej ciężkiej pracy.

– Czas minął, jak biczem strzelił – westchnęła starsza z przybyłych kobiet, na co wszyscy się wyszczerzyli. Wyciągnęła rękę do Babki.

– To słodka udręka pracować z tak demonicznymi duszami – powiedziała czarownica, ujmując dłoń.

Wnet zerwał się silny wiatr, który lubił zrywać dachówki. W zasadzie kilka z nich, jak za pomocą magicznego zaklęcia, opadło na wysuszoną trawę. Rozbłysło jasne światło. Potwory zmrużyły powieki, a gdy wszystko się uspokoiło, okazało się, że przybysze zniknęli.

– To ci dopiero – wyszeptał Szerber, przecierając oczy.

Chwilę później mieszkańcy pałacu rozeszli się, by siać postrach i zniszczenie. *Dom, słodki dom*, pomyślał, wyciągając zza paska swój ulubiony nożyk.

Trzasnęły drzwi, a kroki popłynęły po korytarzu.

– Jak tu pięknie! Jakże czysto! Ale cudowne malowidła – wołały rozanielone głosy.

Kobieta odlepiała wzrok od ekranu komputera. Przywołała na twarz uśmiech i powoli uniosła się z krzesła.

– Niestety wszystko, co dobre kiedyś się kończy – odparła, rozkładając ręce. – Mamy nadzieję, że podobało się państwu w naszym pałacu.

– Wypoczęliśmy jak nigdy – zapiała rozradowana wczasowiczka.

– Piękne okolice – zachwalał zarumieniony wczasowicz. – Piękny wystój. Piękne kobie...

– Cudowne miejsce – zakończyła wczasowiczka, szczypiąc męża w ramię. – Na pewno polecimy je naszym znajomym.

– To zaszczyt. – Recepcjonistka błysnęła zębami. – Proszę, nie zapomnieć wystawić nam pozytywnej opinii w Internecie.

– Niech się pani nie martwi! Na pewno damy pięć gwiazdek.

Goście odeszli, pozostawiając kobietę samą. Czarny pajak wypelzł z jej włosów. Zszedł po ramieniu i przycupnął na dłoni.

– Pięć na pięć gwiazdek – wyszeptwała, czule gładząc owada. – I wszystko jest na swoim miejscu.



Arkadiusz Kijo
Rezerwat

Ku pamięci ukochanego wilkora Dinusia.

„Na początku Bóg stworzył człowieka, ale widząc go tak słabym, dał mu psa”

Alfons Toussenel

Śniegu przez noc napadało, że hej; pół metra, a może i ciut więcej. Nikt, przecież mierzyć tego nie będzie, bo i po co? Jakby to nic lepszego w obejściu do roboty nie było. Słońce powoli podnosiło się ze snu, by zacząć swą codzienną podróż ku wieczorowi. Jego jeszcze nieśmiałe promienie zaczynały delikatnie lizać tę nieskazitelną biel, barwiąc ją przy tym bajkowo odcieniami czerwieni i pomarańczy. Ciepłej zrobiło się wyraźnie. Mróz chyba był w końcu w odwrocie, bo temperatury rzędu 10–15 stopni poniżej zera wszystkim dawały się we znaki.

Potężny, długowłosy, śpiący w zaspie nieopodal kurnika wilczur zdawał się nie przejmować spektaklem natury, choć jego preludium trwało w najlepsze. Chyba że tylko sprawiał takie wrażenie; całkowicie przykryty śniegową pierzyną, spod której wystawały jedynie uszy i nos.

Nagle pięć metrów od niego, a trzy od kurnika, w niewielkim zagłębieniu terenu dało się zauważyć jakiś ruch. Pies zdawał się tego nie dostrzegać, chociaż jego pokryte śniegiem powieki jakby się troszkę uniosły.

Chwila spokoju i znowu. Coś najwyraźniej tam było, bardzo małego i zwinnego; coś poza zwykłym postrzeganiem. Jakieś tajemnicze, dziwne... Stworzenie idealnie zgrywało się z otoczeniem. Poruszało się niezwykle szybko i sprawnie. Całe białe, nieprawdopodobnie drobne pomimo swojej długości. Tylko ten czarny punkcik na końcu ogonka; tylko jego ruch od czasu do czasu zdradzał pozycję zwierzęcia.

Malutkie serce łasicy kołatało jak oszalałe. Jeszcze tylko chwila i zaspokoi głód. Jeszcze tylko parę długości ciała dzieliło ją od śniadania. Na razie musiała zachować spokój, powstrzymać pierwotny zew, chociaż przez ścianę kurnika już wyczuwała wszystkie zamknięte w nim istoty. Jednak było też coś jeszcze, jakaś obca, ulotna i niepokojąca woń, której obecność nie pozwalała od razu precyzyjnie się przez szczelinę między deskami; do miejsca, w którym marnowało się tyle krwi. Krwi, która wołała i mamiła pradawny instynkt.

Łasica kolejny raz przyjrzała się otoczeniu i nie widząc zagrożenia, wślizgnęła się do pomieszczenia.

Ciemno, bardzo ciemno. Wzrok był jednym ze zmysłów łasicy, a w ciemności funkcję oczu przejmowały wibrysy; długie włoski czuciowe rozmieszczone wokół pyszczka.

A i słuch miała doskonały.

Były tu, były. Czują je wszystkie; te pierzaste i te pokryte sierścią. Do wyboru do koloru. Nie wiedziała jeszcze, w którym karku zatopi swoje ostre jak igły ząbki; w króliku czy też w kurczaku... bez znaczenia. Aby się tylko nasycić, aby poczuć tę niesamowitą energię, która napędza inną istotę, a następnie staje się częścią łowcy. Ruszyła w stronę ofiar. Już nic się nie liczyło, już nic nie było dla niej ważne. To amok, zew...

I to ją zgubiło.

Od strony kurnika rozległ się głośny, metaliczny dźwięk, a po chwili niesamowity harmider drobiowych głosów. Wilczur niespiesznie podniósł się z zasy, energicznie otrząpął ze śniegu, uniósł ku niebu łeb i głośno zawył.

Drzwi domu uchyliły się. Wyszła z niego starsza, drobna kobieta w długiej do samej ziemi koszuli nocnej, o włosach koloru dojrzałego żyta, poprzątkanych gdzieniegdzie srebrną nicią i oczach w barwie niespokojnego morza. Nie zawracała sobie głowy wkładaniem butów; ruszyła bosą przez śnieg w stronę kurnika. Po drodze zatrzymała się przy wilku. Podrapała go czule między uszami.

– I co, Nerciu? Mamy go? Udało się w końcu? – Spoglądała z nadzieją w kierunku, z którego docierał coraz wyraźniejszy kurzy jazgot.

Nieśmiało otworzyła drzwi szopki, by po chwili wynieść z niej klatkę, w której szamotało się drobne stworzenie. Energicznie ruszyła w stronę domu, a wielki brytan dumnie kroczył przy swojej pani.

– Widzisz, Szerberku – zwróciła się do stworzenia w klatce kobieta – nosił wilk razy kilka i tak dalej. Wpadłeś w końcu. Przyszedł kres twoich psot i zbrodni, bo to i nie miejsce, i tym bardziej nie czas na to. Co uchodziło ci płazem dwieście, a nawet sto lat temu, dzisiaj nie ma już racji bytu. – Nie zatrzymując się, kontynuowała: – Krzywdy ci jednak nie zrobię, a wręcz przeciwnie. Zaopiekuję się i ochronię. Dopilnuję, żeby nikt tobie, albo co gorsza ty sam sobie nic złego nie uczynił, mój niesforny chłopcze.

Następnie otworzyła drzwi do domu, wołając z progu:

– Krzyysztof! Pasażer do pałacu. Dawaj prędko, bo trzeba go odstawić.

– O Chryste, teraz? – Z kanapy podniósł się mężczyzna o młodej twarzy i szczupłej sylwetce, jednak o włosach białych jak mleko albo jak śnieg za oknem. – Znowu? Bożka nie wierzę.

– Przecież ty w nic nie wierzysz i już dawno się z tym pogodziłam. Jednak ja sama wszystkiego nie zrobię. – Kobieta złapała się pod boki. – Ciesz się, że z Nerciem uratowaliśmy twój zwierzynek przed tą istotą, bo nie miałbyś po co kurnika otwierać.

– No już dobrze, dobrze. Zaraz pojedę. – Mężczyzna przyglądał się zwierzęciu w klatce. – To on? Myślisz, że to on?

– Tak, on. Jedź już, człowieku. Po co zwlekasz?

– A bo polonez tyle dni stał na mrozie. Pewnie nie odpali...

Mężczyzna podrapał się po białej czuprynie.

– Odpali, odpali. Gwarantuję ci to. Moja w tym głowa. Jedź już.

– Ale po co to wozić? – Spróbował jeszcze raz. – Nie lepiej z klatką do beczki z wodą i po krzyku?

– Czasami to sama się dziwię, co ja w tobie widziałam... Żebym ciebie do tej beczki nie wsadziła! A poza tym to przecież Fossegrim, wodna istota.

– A no tak, zapomniałem.

Niechętnie wyszedł z ciepłego budynku, zabierając po drodze klatkę. Wsiadł do samochodu, którego karoserii pomimo nocnych opadów nie szpecił nawet najdrobniejszy płatek śniegu. Powoli przekręcił kluczyk... i stracił nadzieję. Stary gruchot zaskoczył jak strzała.

– Czarownica – mruknął pod nosem, wbijając pierwszy bieg. – Puszczę sobie przy okazji totolotka, a co? Ten dzień nie będzie taki do końca stracony.

Bożka popukała w szybę samochodu, a Krzysztof uchylił ją nieznacznie.

– Tylko tam i z powrotem, żeby nigdzie cię nie nosiło. A co do tej czarownicy to wiedziałeś, na co się piszesz.

Kiwnął smętnie głową i ruszył.

– Najprawdziwsza czarownica – mruknął jeszcze raz, kierując się w stronę Gądna.

Chłopiec budził się powoli. Bolała go głowa, a w gardle czuł dziwną suchość. Otworzył oczy. Nie poznawał tego miejsca, chociaż nie do końca było mu obce. Nie bardzo pamiętał, jak się tu znalazł.

Pomieszczenie trzy na dwa metry, ściany z surowych cegieł, bez okna, betonowa podłoga, solidne dębowe drzwi i słaba żarówka pod sufitem. Leżał na jakimś sienniku, a w kącie znajdował się lichy stolik, na którym stał gliniany dzbanek. Usiadł na posłaniu; kręciło mu się w głowie. Wstał. Powoli podszedł do mebla, uniósł naczynie i powąchał zawartość.

– Chyba woda? – zapytał sam siebie, by następnie wychylić dzbanek.

Pił długimi, nieprzerwanymi haustami, a płyn, który spływał przelykiem i dalej do żołądka, z każdym łykiem dodawał sił i rozjaśniał myśli. Przypominał sobie... Na razie nic

konkretnego, jakieś obrazy; śnieg, zapach jedzenia, kudłata bestia, kobieta o burzowych oczach, ciemność.

Zerknął na drzwi. Naprawdę solidne, mocne i nowe. Przylegały idealnie do ściany; żadnej szczeliny, nawet na milimetr. Podszedł i przyjrzał się im z bliska. Wielkie, grube dechy, spasowane na jaskółczy ogon. Mistrzowska robota. Idealna płaszczyzna tworzyła jedną całość. Grubo lakierowane błyszcząły się jak... Chłopiec uśmiechnął się, pomimo bądź co bądź niewesołego położenia, bo skojarzenie z psim narządem rozrodczym nasuwało się samo. Żadnej klamki czy zamka; wszystko znajdowało się po drugiej stronie. Delikatnie oparł dłonie o deski, chcąc sprawdzić, czy naprawdę były tak solidne jak wyglądały i uświadomił sobie, że popełnił błąd.

Doznał wstrząsu nie do opisanego. Tylko jedna rzecz na świecie mogła go tak sponiewierać. Srebro. Tylko jakim cudem? Przecież to lite drewno. Powoli odpływał; w ostatnim przebiegu myśli dotarło do niego, że drobiny metalu wymieszano z lakierem.

Potem znowu była tylko ciemność.

Świadomość powoli wracała. Jeszcze nie mógł polegać na wszystkich zmysłach, ale niektóre radziły sobie całkiem dobrze. Na przykład węch powrócił całkowicie. Wyczuwał zapach wody; może nie bystrego strumyka, a bardziej pełnego torfu bajora, ale był to jakiś początek.

Potem wrócił słuch. Obok niego coś jakby taplało się w błocie; jakaś wataha dzików czy co. Tego jeszcze nie wiedział.

Następnie dotyk. Mokra szmata okrywała jego usta, starając się zgasić jeszcze słaby, mroźny oddech.

Wzrok jednak nie chciał wrócić; w dalszym ciągu nic nie widział. Potem uświadomił sobie, że ciągle miał zamknięte oczy. W myślach pacnął się dłonią w czoło. Rozchylił powieki.

Zobaczył pochyloną nad sobą twarz. Twarz straszną, zniszczoną przez życie, przez alkohol i kto tam wie, przez co jeszcze. Twarz bardzo starego człowieka, o długich, posklejanych w strąki włosach, wielkim, czerwonym nosie, bladej cerze i bujnej brodzie. To właśnie od tej postaci bił zapach bajora, a przy każdym jej ruchu dało się słyszeć mokre plaśnięcie. Nieznajomy uśmiechał się od ucha do ucha arsenalem rzadkiego uzębienia i zagał:

– Benedykt jestem. – Wyciągnął w stronę chłopaka dłoń wielkości liścia rabarbaru. – Albo Benek, jak wolisz – powtórzył, machając rabarbarem przed jego twarzą. – Witam z powrotem, kolego.

Uśmiech nieznanego, pomimo że wydawało się to niemożliwe, stał się jeszcze szerszy.

Więzień niepewnie odwzajemnił ten liściasty uścisk. Poczuł, jak mokra była dłoń rozmówcy. Facet bardzo się pocił, choć temperatura w pomieszczeniu nie przekraczała pokojowej. Chociaż może nie tyle się pocił, ile po prostu był wilgotny. Może jeszcze inaczej, on stanowił kwintesencję wilgoci. Z Benka najzwyczajniej w świecie kapłała woda.

– Nie bój nic, młody. Ze mną nie zginiesz. – W najlepsze machał dłonią chłopaka, rozpryskując dookoła niezliczone kropelki. – Zaraz wszystko ci wytłumaczę. Chociaż, nie powiem, nieźle cię zamiotło. A tak w ogóle to jak cię wołają?

– Jam łasica – odezwał się niepewnie chłopak.

– Łasica? – Stary podrapał się po brodzie. – Widziałem w życiu parę łasic, ale zgoła inaczej wyglądały.

– No, bo czasem łasica, a czasem nie. – Przez chwilę nie wiedział, czy zaufać nieznanemu. – A tak naprawdę to Szerber.

– Dziwne imię, takie jakby nie nasze, ale cóż... Europa bez granic to imiona coraz bardziej europejskie. – Stary kiwał głową. – Przecież mogli ci dać Brajanek. To dopiero byłby obciach – zarechotał jak żaba i przez chwilę nie mógł się uspokoić. – Żart taki. Nie gniewaj się, przecież ważne co w człowieku, a nie jakie mu imię dali.

Tym razem rabarbar z niemałą siłą wylądował na plecach Szerbera. Nastąpiło głośniejsze plaśnięcie i zmoczyła go duża kałuża wody.

– Opowiadaj, gdzie cię dorwali. – Benek nieznacznie zmarszczył przypominające dwie pałki wodne brwi. – Bo sam raczej, z własnej woli tutaj nie trafiłeś, przyjacielu. Tylko nie kręć mi tutaj. Mów jak na spowiedzi, bo ja stary wróbel jestem i na byle plewy nie dam się nabrać. – Patrzył przy tym Szerberowi głęboko w oczy. – Jeśli mamy zostać kumplami, to nie ma tu miejsca na niedomówienia i matactwa jakiegokolwiek. Szczerość za szczerość. Przecież widzę, że prawie do jednego gatunku się zaliczamy.

Chłopak westchnął.

– W kurniku. – Oblał się rumieńcem, co przy jego nienaturalnie bladym obliczu było szczególnie widoczne. – Łowów mi się zachciało. Podpałłem się. Czujność na chwilę straciłem, a ona tylko na to czekała.

– Bożka. – Benek pokiwał głową.

– Nie wiem może i Bożka. Taka ni stara, ni młoda. Włosy jasne i delikatnie szronem osnute. Jakaś moc wielka od niej bije, a w oczach koloru naszego jeziora widać ogromną głębię i wiedzę pokoleń. Nie bałem się jej, choć w niewolę popadłem.

– Bożka! Ja nie pytam, ja stwierdzam fakt. Matka Pani na Gądnie. Gdy właścicielka tych włości jest w rozjazdach, to właśnie Bożka jest tu najważniejsza. Chociaż wydaje mi się, że nie tylko wtedy.

– Powoli gubię się w tym wszystkim. – Szerber przewrócił oczami. – Wytłumacz mi w końcu po kolei, co my tu robimy i kim są ci ludzie. A i twojej historii też jestem ciekaw.

Benek zamyślił się na chwilę. Przysiadł na sienniku obok Szerbera; westchnął i zaczął:

– Jak już się pewnie domyślasz mój „młody” przyjacielu, prawie z jednej gliny jesteśmy ulepieni. – Spojrzał uważnie na chłopca i kontynuował: – Chociaż może nie tyle gliny... chyba że z dna jeziora pochodzi. A raczej z mułu i wody. Wyczułem to ja od razu, bo ty wodnik przecież jesteś. Chociaż trochę taki nie nasz. A ja utopiec najzwyczajniejszy w świecie. Po wielkiej wojnie, co to cały świat ogarnęła, przyszedł pokój i wędrówki ludzkie się rozpoczęły. Za chlebem, za nowym domem, za lepszym życiem. Całe narody przesiedlane były tysiące kilometrów od miejsca narodzin. Jechali w nieznanne, pełni obaw co przyniesie im ta nowa ojczyzna. – Oczy Benka zaszkliły się na moment, pociągnął nosem i mówił dalej: – Ruszyłem i ja za swoimi, bo przecież sam bym tam został jak palec, co całą dłoń stracił. Długa to była podróż, przez kraj obcy i nieznany. Dalej i dalej ciągle na zachód, aż dłużej już nie można było jechać. Osiadłem więc tutaj, w tej pięknej krainie pełnej jezior i rzek, tak bardzo przypominającej mi starą ojczyznę.

Benedykt zamilkł na chwilę. Zadumał się. Szerber pomyślał, że to już koniec opowieści. On w przeciwieństwie do Benka został tutaj po wojnie. Nie podążył za ludźmi, bo bardziej czuł się związany z miejscem, którego nie chciał opuszczać. Zamierzał zadać następne pytanie, ale stary utopiec przemówił ponownie:

– Przeżyłem tutaj komunę, przeżyłem pegeery i dożyłem tych nowych i podobno lepszych czasów, gdzie wszystko miało być piękne, gdzie wszystko miało być lepsze, a jest jak jest. – Załkał. – Zapomnieli o nas ludzie, zapomnieli o swojej tradycji, o dawnych przesądach, o starych wierzeniach. Już nie jest to im do niczego potrzebne, a bez tego to i my w zapomnienie pójdziemy.

Czy piłem? Tak, piłem. Całe lata piłem, bo ja też chciałem zapomnieć. Z trunkami nie było problemu. Liczne zalegają na dnie różnych zbiorników. Pamiątki po wojnach, nieudanych przeprawach, dzikich imprezach. Zawsze się znajdzie jakaś omszała butelczyna z ciekawą zawartością, a ja alkohol z daleka wyczuję. Myślałem, że już nie ma dla mnie

przyszłości. Do czasu... Znalazł mnie tutejszy stajenny, który zwykł majątek objeżdzać. Opitego niemiłosiernie, w pąkowiu przybrzeżnym śpiącego. Wyciągnął mnie na brzeg i nieprzytomnego na pałace przywiózł.

– To i stajnie tu są? – zapytał rozmarzony Szerber. – To i konie pewnie? Kocham konie. To takie piękne stworzenia.

– Co konie? Jakie konie? A nie! – Benek potrząsnął czupryną. – To taki stajenny bez stajni, Norbanty Sawina. Sam nie wiem, czemu stajennym każe się nazywać. Może był albo będzie? Potężne chłopisko, ale dusza człowiek. Rowerem mnie tu przywiózł, przez ramę przerzuconego, chociaż jam też nie ułomek. Do porządku mnie doprowadzili, w głowie poukładali i tak zostałem, bo to porządni ludzie są.

– To ty więźniem nie jesteś? Nikt cię tutaj na siłę nie trzyma? To, czemu ja w zamknięciu siedzę i jeszcze na dodatek srebrzonymi drzwiami zabezpieczony?

– To tylko na razie, dla twojego dobra. A co do srebra to czysty przypadek. Krzysztof, mąż Bożki, drzwi lakierował i coś tam ze składnikami pomieszał. Azotanu srebra zamiast utwardzacza dodał. Ot i cała tajemnica. Kartkę z ostrzeżeniem miał nawet powiesić, ale jak to on zapomniał.

– Czyli w każdej chwili mogę stąd wyjść? – Nadal nie dowierzał Szerber.

– Tak, ale chciałbym, abyś najpierw spotkał się z naszymi gospodarzami. Okazję będziesz miał ku temu, bo wieczorem mają tu zjechać wszyscy. A i resztę mieszkańców, hmmm... tego swoistego rezerwatu też zaraz poznasz.

Benek podniósł się. Podszedł do drzwi i je uchylił. Jak się okazało, wcale nie były zamknięte. Gestem pokazał Szerberowi, żeby szedł za nim. Oczom chłopca ukazała się rozległa sala z ogromnym stołem pośrodku i małutkimi okienkami, które zdawały się w ogóle nie pasować do jej wielkości. Przy ścianach stało trochę mebli, jakieś beczki, sporo kartonów i skrzyń, a całość sprawiała wrażenie prowizorki.

– Nie dziw się, młody. To piwnica. Tylko ona jest w jako takim stanie, bo wszystko inne to ruina totalna. Ale pracujemy nad tym – mówił z przejęciem Benedykt. – Na razie tutaj mieszkamy, tutaj pracujemy i pewnie trochę czasu tak jeszcze będzie, ale za to później... – Aż pokraśniał z dumy.

– Chodź dalej. Przedstawię cię dziewczynom. – Pociągnął Szerbera za rękaw. – Pewnie są w archiwum.

Otworzył drzwi. Weszli do pomieszczenia pełnego kartonów i półek z niezliczoną ilością starych książek, gazet i innych papierzyśk. Dwie podobne jak krople wody dziewczyny, przeglądały po kolei dokumenty i je katalogowały.

– Przedstawiam, Ina i Oda, bliźniaczki brzeginki. A to jest Szerber, Fossegrim. – Chciał klepnąć chłopaka w plecy, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. – Jest jeszcze Bogna, południca, która dba, abyśmy nie pomarзли w tych lochach, ale nigdzie jej nie widzę w tej chwili. I Milo, skrzat domowik, ale nigdy nie wiadomo gdzie jest.

W tej chwili Szerber poczuł, że ktoś jeszcze wszedł do archiwum. Wystraszony obrócił się gwałtownie. W progu zobaczył kobietę o sympatycznej twarzy i szczerym uśmiechu, a za nią zdecydowanie młodszą dziewczynę. Podobieństwo kobiet rzucało się w oczy; nie było wątpliwości, że to matka i córka.

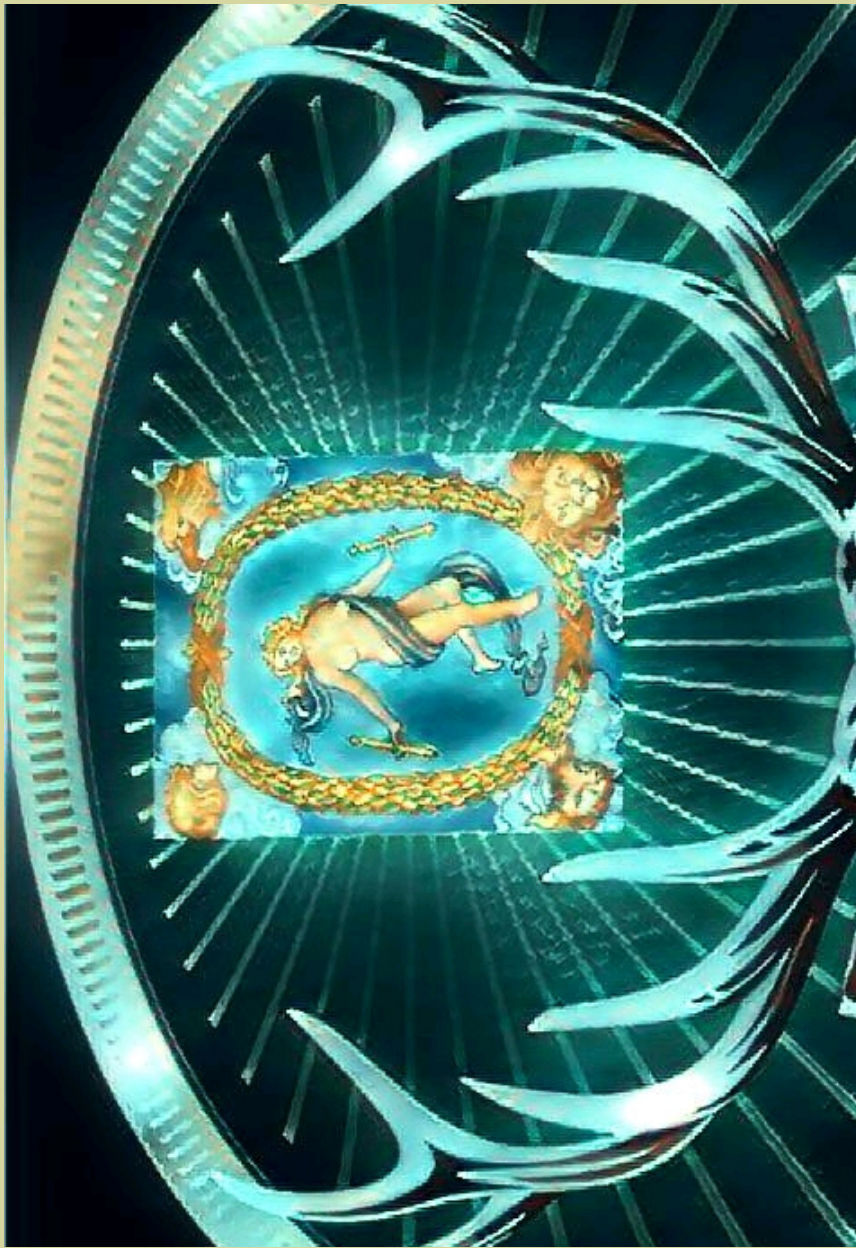
– Cześć, szefowo! Cześć, Natka. – Benek cały się rozpromienił. – Widzisz, młody. To właśnie Pani na Gądnie i jej córka.

Kobieta wyciągnęła dłoń do chłopaka.

– Mów mi Magda. Myślę, że nasz Benio wstępnie wprowadził cię w sytuację i nasze plany. Zdaję sobie sprawę, iż musisz to wszystko przemyśleć, ale wydaję mi się, że będziesz zainteresowany. Zyskasz dach nad głową i opiekę, a w zamian podzielisz się z nami historią tej krainy i pomożesz w odbudowie pałacu. Tutaj każdy coś z siebie daje. Popatrz na brzeginki. Albo na Benia. Planujemy stworzyć winnicę i nie wyobrażam sobie lepszego opiekuna niż on. Co jakiś czas pojawia się ktoś nowy... Będę szczerą, nie wszyscy zostają.

– I zagrasz nam od czasu do czasu na gęślach albo flecie, bo przecież Fossegrimowie znani są ze swojej muzykalności – przemówiła w końcu młodszą z kobiet. – Przecież tak właśnie zwabiali wiarołomne dziewczyny w topiel wody. – Podeszła do chłopaka i wyciągnęła dłoń na powitanie. – Nati jestem. Specjalizacja psychologia zagrożonych gatunków. Jestem tu na etacie terapeutki. Witam w pałacu.

Szerber uświadomił sobie, że dziewczyna jest niezwykle piękna, a jej ciepły i łagodny głos dziwnie go uspokaja. W niebieskich oczach dostrzegł tę samą głębię, co w oczach babki i matki: wiedzę, determinację i mądrość. Zdał sobie sprawę, że powoli zaczyna tonąć w tym spojrzeniu i zrozumiał, że znalazł dom, którego tak długo szukał.



Norbin Masawin

Das Tschitobaschn?

Dla Rysia.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”

Ks. Jan Twardowski

Morowe powietrze opanowało Gęsigród. Ciężki do wytrzymania zapach siarki wzmagał się zwłaszcza przy zejściu do Jasienia – przepięknego, będącego dumą jeziora zamieszkujących te tereny Bielgęsów.

– Ład wszędy, Kaczańcu – przywitał się grzecznie jasnowłosy młodzieniec o czerwonym licu i błękitnych oczach.

– Wszędy ład będą – odpowiedział mężczyzna, którego natura dla odmiany obdarzyła w ciemne owłosienie, a po chwili wykrzyknął wyraźnie zdziwiony: – Na dmuchaną cholernicę! Co tu robisz, Czerwbielu?!

– Jak to co? Zostałem zaproszony na wieczyste rozkminienia do Gąsna.

– A kto zaprosił takiego szczyła, co otrzęsin jeszcze nie miał? – spytał Kaczaniec.

– Jak to kto? Wiadomo, że wiedzomająca Bohuema – odpowiedział pewnym siebie tonem Czerwbiel. – A do otrzęsin brakuje mi zaledwie dwóch років. Myślę, że zaprosili mnie z takiego samego powodu jak ciebie...

– Z powodu darlaka – przerwał starszy z chłopców.

– Nie od dziś wiadomo, że u nas w rodzinie każdy miał ten dar – dokończył myśł blondyn.

Gąsno znajdowało się na przeciwległym brzegu Jasienia i było oddalone o kilkaset metrów od jeziora. Była to właściwie wielka drewniana altana, otoczona przepięknym ogrodem, składającym się z kręgów wielorakiej roślinności. Wijący się po belkach bluszcz stanowił ściany i dach tej dziwnej konstrukcji, a z jej wnętrza wylatywała zapierająca dech w piersiach jasność. Taki efekt uzyskano, dzięki odpowiedniemu rozstawieniu regularnie ociosanych kryształów, które niczym labirynt prowadziły do serca budowli, gdzie znajdowało się wielkie palenisko. Dookoła ogniska stały pięknie rzeźbione ławy, ozdobione wysokiej klasy malowidłami.

Tak wyglądało Gąsno na powierzchni ziemi. Natomiast o tym, co znajdowało się pod altaną wiedziała tylko mieszkająca w jej podziemiach wiedzomająca Bohuema.

– Ład wszędy, przybyłym! – przywitała zgromadzonych Bohuema.

– Wszędy ład będą! – usłyszała w odpowiedzi wiedzomająca.

– A co to za smarkacze? – zapytał rostry mężczyzna, świecący łysiną jak księżyc w pełni, wskazując pazurem na właśnie przybyłych młodzieńców.

– Masawinie, na wieczyste rozkminienia są zapraszane tylko osoby posiadające darlaka – odpowiedziała gospodyni. – Nikt nie przybył tu przypadkowo. Znacie przecież synów Elwany, Kaczańca i Czerwbiela.

– Oczywiście, że znamy – rzekła druga biorąca udział w zgromadzeniu kobieta. – Szkoda tylko, że ostatnio dar omija niewiasty szerokim łukiem – dodała.

– Trudne czasy, Mandaluno – wtrąciła się Bohuema – wymagają wykorzystania tężyzny fizycznej. Stąd może więcej kawalerów urodzonych z darlakiem. Doskonale wiecie, że kawałek skały, na którym żyjemy, znowu się bardzo nagrzał i trudno jest nawet oddychać...

– Pewnie, że wiemy! – przerwał przyodziały w skórę z wilka długowłosey. – Ludziska zaczęli nawet przeżywać gród nasz Moryniem od powietrza morowego.

– Rad bym była, Kijanarze, byś nie przerywał trzeźwości myśli mojej – zbesztła mężczyznę wiedzomająca i ciągnęła dalej swój wywód. – Tak więc nadchodzi spotkanie z Wenixem. Po nim znów nastąpi kilkunastoletnia mroźna zima. Nasze ziemie pokryje lód gruby i nie będzie tu miejsca do życia. Jest to zresztą jedyny sposób na ochłodzenie naszej skały, który obmyślili nasi przodkowie, Pierwymi zwani. Zatem musimy uciekać za Ren za linię życia, by nasza rasa przetrwać mogła. Ale jak wiecie stacjonują tam Sidkilianie, gotowi, jak zawsze w czasie Wenixa, wybić nas w pień. Po długich kminianiach decyzję podjęłam, co czynić będziemy, by zagłady uniknąć. Zatem słuchajcie mnie wszyscy z uwagą, bo powtarzać nie zamierzam.

Zgromadzeni wiedzieli, że Bohuema nie rzuca słów na wiatr. Dlatego też wszyscy wyteżyli umysły, by nic nie umknęło ich uwadze.

– Przede wszystkim – kontynuowała wiedzomająca – musimy jakoś zastąpić Rychlimira, który przez wiele lat dbał, byśmy mieli co do ust włożyć.

– Oj, ciężko zastąpić go będzie – westchnęła Mandaluna. – Kielbasa już nigdy nie będzie smakować tak samo...

– Chciałbym dorwać tego dzika, który mu płuco przebił! – prężył się Masawin.

– Życie dalej musi się toczyć – zabrała znów głos Bohuema. – Kszykurze, twoja hodowla drobiu rozrosła się bardzo. Wyznaczam ci zadanie przygotowania prowiantu w postaci jaj oraz mięsa z uboju twojego stada.

– Co?! Dzieci swoje mam pozabijać? – oburzył się Kszykur. – W moim stadzie każdy osobnik ma swoje imię. Często sam wysiadywałem jaja.

– Mówią, że ty nie tylko dla nich ojcem, ale również rozkosz im zapewniasz – powiedziała roześmiana od ucha do ucha Mandaluna.

– Przecież to kazirodztwo! – znów oburzył się Kszykur. – Jam nigdy swojego kindybała między pierze nie wciskał!

– Dość tego! – przerwała Kszykurowi Bohuema. – Tu chodzi o przeżycie naszej rasy! Dlatego wykonasz, Kszykurze, bez gadania to, co ci zleciłam.

– Tak jest, Bohuemo.

– Masawinie – kontynuowała gospodyni zgromadzenia – wyprodukujesz tyle wina, ile zdołasz. Jednakże pamiętaj, że dzieci będą z nami wędrować, więc przeznacz kilkanaście beczek na wino bezalkoholowe.

– Takie wino bez procentów marnotrawstwem jest wielkim, ale rozumiem powagę sytuacji i wykonam twą wolę – zadeklarował Masawin.

– Kijanarze, znamy twój talent artystyczny. Powiedz nam jednak, czy podjąłbyś się wykonania mieczy i tarcz do obrony przed wrogami naszymi? – spytała Bohuema.

– Wolałbym całe swoje życie bohomazy malować jak na ławach, na których obecnie pupy nasze spoczywają. Jednak rozumiem powagę sytuacji i wykonam twą wolę – zadeklarował Kijanar.

– Mam jeszcze prośbę do ciebie – zwróciła się do Mandaluny Bohuema – byś zgodziła się to wszystko przechować w swoich piwnicach.

– Co prawda cieniutko u mnie z wolnym miejscem, ale rozumiem powagę sytuacji i wykonam twą wolę – zadeklarowała Mandaluna.

– Cieszy mnie bardzo, że wszyscy rozumiecie powagę sytuacji. Czyńcie zatem, cośmy ustalić raczyli. Mamy blisko dwa roki na wykonanie naszego planu. Możecie się rozejść. Kaczańca i Czerwbiela poproszę o pozostanie.

Cała narada, którą Bielgęsowie zwali wieczystymi rozkminieniami odbyła się bez użycia mowy. Każdy z przybyłych posiadał dar charakteryzujący się między innymi umiejętnością porozumiewania telepatycznego. Najmłodszymi, urodzonymi z darlakiem byli synowie Elwany: Kaczaniec i Czerwbiel, którzy z niecierpliwością czekali na zadania, które miała im powierzyć wiedzomająca Bohuema.

– Moi drodzy – rozpoczęła kobieta – przygotowałam dla was zadania specjalne. Kaczańcu, nakładam na ciebie obowiązek pomocy twemu bratu w każdej sytuacji. Nauczysz go samodzielności i bezwzględności, bo te cechy, które zresztą już posiadasz, pozwolą przeżyć Czerwbielowi, a być może zapewnią przeżycie naszej rasie.

– Wiedzomająca Bohuemo, przecież ja jestem starszy i to mi brat mój swą pomocą służyć powinien – oponował Kaczaniec.

– Milcz, małolacie! Masz bardzo ciężkie zadanie do wykonania. Istnieje nawet możliwość, że swym życiem to przypłacisz. Ale to już kwestia twojego wyboru.

– Tak jest, wiedzomająca Bohuemo! Ty wiesz wszystko najlepiej – powiedział Kaczaniec.

– Zatem niech się stanie wola moja. Możesz odejść, Kaczańcu.

Starszy z młodzieńców skierował się do wyjścia. W Gąśnie pozostali tylko Bohuema i Czerwbiel. Kobieta zwróciła się do chłopca:

– Chodź za mną, Czerwbielu. Za chwilę odkryję, co tobie jest pisane. Zejdźmy na dół. Pokażę ci największy skarb Bielgęsów.

Schodzili krętymi schodami kilkanaście metrów pod ziemię. Oczom Czerwbiela ukazała się ogromna biblioteka z setkami tysięcy książek.

– To, co teraz widzisz – zaczęła wolno Bohuema – jest wielkim skarbem, wiedzą spisana przez Pierwych i zgromadzoną w jednym miejscu. Jednak największym skarbem jest to – powiedziała kobieta. Wskazała na wielkie pudło, wykonane z dziwnego metalu, nałożone na coś, co przypominało akwarium. – W środku jest arlak wody.

Wiedzomająca podeszła do pudła i siłą myśli przeniosła je w dalsze miejsce. W tej samej chwili po całej piwnicy rozniósł się niesamowity blask. To arlak wody, ukryty w szklanym naczyniu, mienił się przepięknymi barwami. Wyglądał jak glon o kształcie jelenich rogów, we wnętrzu, których istniał świat o innej niż ziemski gęstości.

– Czerwbielu – zwróciła się do chłopca Bohuema – twoim zadaniem będzie ochrona naszego największego skarbu.

– Ależ, wiedzomająca! Ja... Ja nie wiem, czy się nadam.

– Widzisz chłopcze, na szczęście ja wiem troszkę więcej od ciebie.

– Nie wątpię, wiedzomająca.

– By mieć pewność, że wszystkie wątpliwości opuszczą twój umysł, opowiem ci krótką historię naszej rasy. Otóż Pierwi, czyli nasi przodkowie przybyli tu z kosmosu. Za pomocą starej technologii rozciągnęli kawałek skały, na której teraz mieszkamy, nazywając ją Ziemią. Znaczący to, że nasza planeta, a potem jej księżyc powstały sztucznie. Musisz też wiedzieć, że nasza skała w środku jest pusta. Pod kilkusetkilometrową warstwą morza, we wnętrzu Ziemi, również mieszkają ludzie. Pierwi mieli dwóch przywódców, którymi byli bracia Dobr i Zeł. Dobr zarządzał życiem na powierzchni, natomiast Zeł królował Ziemi wewnętrznej. Pierwsi ludzie naszej rasy zostali zrodzeni przez żonę Dobra, Ładbędę. To dlatego Bielgęsowie nie czczą Boga czy Bogów, jak to czynią inne rasy, gdyż wiedzą, że Bogowie byli ich przodkami.

Pewnego dnia Zeł zaprzagnął przejąć świat zewnętrzny. Ponieważ nikt prócz Ładbędy nie potrafił urodzić nowych ludzi, przywódca wnętrza Ziemi wykorzystał znajomość genetyki i sklonował nowego człowieka. Tak powstał Sidkilanie. Zeł ogłosił się jedynym Bogiem i z armią nowej ludzkiej rasy uderzył na królestwo rządzone przez Dobra, doprowadzając do jego śmierci. Podczas wielkiej wojny skradziono nam również jeden z naszych dwóch skarbów, czyli arlak ognia, który do dzisiejszych czasów jest w posiadaniu Sidkilianów. Dlatego jak oka w głowie musimy strzec naszego jedyne skarbu, który nam został, arlaka wody.

– I to jest moje zadanie? – spytał nieśmiało Czerwbiel.

– Tak, chłopcze. Ty tego dokonasz – odpowiedziała Bohuema. – Powiem ci, jak to zrobisz, ale wpierw zakończę napoczętą historię. Jak ci pewnie wiadomo, Pierwi ustawili tor jazdy naszej skały na wartość 4x13x13. Co tyle roków uderza w nas Wenix, dzięki czemu Ziemia się ochładza. Za jakieś dwa roky znowu się to stanie, a nasze ziemie przejmie lodowiec. Dlatego musimy stąd uciekać. Ty jednak zostaniesz.

– Wiedząc, że Bohuemo, czy zatem chcesz mnie skazać na śmierć? – spytał zaniepokojony Czerwbiel.

– Wręcz przeciwnie. Skazuję cię na długie życie. Wszyscy, również nasi wrogowie, będą przekonani, że uciekając przed zimą, zabraliśmy ze sobą arlaka wody. On jednak zostanie na miejscu, a ty razem z nim. Gdy nastąpi czas ucieczki, wejdiesz w tę kolorową rzeczywistość stworzoną przez arlaka. Znajdziesz się w miejscu, gdzie nie działa czas. Istnieje możliwość, że za dwa Wenixy zostaniesz uwolniony. Dokona tego istota o czystym sercu, najprawdopodobniej posiadająca darlaka. W czasie gdy to się dokona, ludzie będą chorować. Twoim zadaniem będzie uzdrowić jak najwięcej z nich. Pamiętaj, że arlak wody ma moc wskrzeszenia umarłych. A i bym zapomniała. Nie przemieszczaj się za bardzo na północ. Może się okazać, że linia morza będzie się znajdować blisko Jasienia. Lepiej byś się stąd nie ruszał. Czy zrozumiałeś, co masz zrobić, Czerwbielu?

– Tak jest, wiedząc, że Bohuemo. Rozumiem powagę sytuacji i wykonam twą wolę – zadeklarował chłopak.

Minęły dwa lata. Bielgęsowie opuścili z całym swym dobytkiem Gęsigród, udając się na zachód. Dzięki obliczeniom swoich mądrych przodków wiedzieli, że linia życia będzie znajdowała się na wysokości Renu. Wszystko, co leżało na wschód od tej rzeki, miał pochłonać lądolód.

Czerwbiel przypatrywał się z daleka scenie odjazdu swoich bliskich. Gdy upewnił się, że wszyscy wyjechali, postanowił udać się do Gąsna, by wypełnić wolę Bohuemy. W pewnej chwili ogarnęło go przeczucie, że był śledzony przez jakąś niską postać.

Po dotarciu do Gąsna Czerwbiel od razu zszedł do piwnicy. Bohuema zabrała z niej wszystkie książki. Zostało tylko metalowe pudło, a pod nim akwarium z arlakiem wody. Chłopiec ściągnął pokrowiec siłą mięśni. Arlak olśnił pomieszczenie swym blaskiem. W tym samym momencie jakaś inna postać wynurzyła się z ukrycia i zaatakowała nożem Czerwbiela.

– Kaczańcu, co czynisz? Dlaczego nie pojechałeś ze wszystkimi? – zdziwił się Czerwbiel, oddalając się od brata.

– A co ty myślisz, że jestem taki głupi, żeby robić, co te głupie babsko mi każe? – odpowiedział pytaniem Kaczaniec. – Idiotka chciała z ciebie zrobić skoczka w czasie.

– Kogo?

– Haha, nawet nie wiesz, jakie masz zadanie – roześmiał się starszy z chłopaków. – Tak się składa, że ja też działam według planu. Wyobraź sobie, że mój ojciec też był skoczkiem w czasie.

– To dlatego nasza matka od niego uciekła! – wykrzyczał Czerwbiel. – Ona musiała o tym wiedzieć!

– Być może, ale to jest już mało istotne. Mój ojciec przekazał mi dużo więcej wiedzy niż tobie ta przemądrzała baba – wycedził przez zęby Kaczaniec. – Jestem częściowo Sidkilianem, częściowo Biełgęsem. Jednak bardziej czuję się tym pierwszym, dlatego wypełnię wolę mego ojca.

W tym momencie Kaczaniec rzucił się na Czerwbiela, próbując zabić go nożem. Jednak ta nierówna walka szybko została zakończona. Młodszy z chłopaków sparował uderzenie swojego brata, po czym zadał mu cios w tchawicę. Kaczaniec zginął na miejscu. Gdyby wiedział, że Masawin nauczył Czerwbiela tajnego ciosu śmierci, pewnie obrałby inną taktykę walki. Niestety jako denat na nic nie miał już wpływu.

Czerwbiel odrzucił zwłoki brata, po czym wypełniając wolę Bohuemy wszedł w objęcia arlaka wody. Znalazł się w innym wymiarze.

Kilka dni później Gąsno znalazło się pod lodem. Jednak życie toczyło się dalej. W pewną sylwestrową noc Biełgęsowie zostali na linii Renu wycięci w pień. Ich największa mądrość, czyli wiedzomająca Bohuema, również straciła życie. Jednak dużej części ludzi tej rasy udało się uciec, dzięki pomocy zaprzyjaźnionych plemion. Stworzyli oni nawet swoje państwo po

obu stronach Pirenejów oraz w Afryce Północnej. Szukając arlaka wody (wierzyli, że wpadł w obce ręce) splądrowali nawet Rzym.

Mijały kolejne lata. Sidkilianie przejęli większość terenów Europy. Fałszowali historię, zmieniali kalendarze. Podszywali się także pod podbite ludy, przejmując ich tożsamość. Potem częściowo zostali podbici przez Rdzawarków, których i tak kontrolowali, dzięki systemom religijnym i instytucjom finansowym. Część Bielgęsów wróciła na swoje stare ziemie. Jednak zostali oni podzieleni na kilka państw. Narzucono im zewnętrznych władców. Gąsno również kilka razy zmieniało swoich właścicieli. Nowi panowie nie potrafili wypowiedzieć starej nazwy, więc zmienili ją sobie na Guhden.

Nawet ich sny były zniekształcone na podobieństwo ich mowy. Różne osoby mieszkające w Gąsnie, niezależnie od siebie miewały wizję tej samej zjawy, która je nawiedzała, gdy spały. Była to przerażająca postać jasnowłosego potwora o czerwonych oczach, którego nazwali po swojemu Szerberem.

Nie mogli wiedzieć, że kilkanaście metrów pod ziemią znajduje się czekający na możliwość powrotu do naszego wymiaru chłopiec.

– Wiesz co? Śnił mi się Szerber – zwróciła się do swojego rówieśnika dziesięcioletnia dziewczynka. – Ale nie był on taki brzydki, jak go przedstawiają w książkach.

– Majko, Szerber to zły potwór, który pożera dzieci.

– Nie zgodzę się z tobą, Edwardzie. Szerber jest w rzeczywistości piękny i ma szlachetne serce. Zresztą jak chcesz, możemy go poszukać – zaproponowała.

– Chcesz iść do pałacu? – zdziwił się Edek. – To bardzo niebezpieczne miejsce. Mój ojciec mówi, że te cwaniaki z Warszawy, co go kupili, odnowią go za nasze pieniądze, a potem nie będzie we wsi spokoju, bo za dużo turystów przyjedzie.

– A to twój tata nie wie, że jak są turyści, to można na nich zarabiać?

– Mówi, że wśród turystów jest dużo bandytów, którzy tylko czekają, żeby nas okraść.

Majka spojrzała na Edwarda z politowaniem, po czym złapała go za rękę i rzekła:

– Nie bądź lamus i chodź ze mną na pałac. Może znajdziemy tam jakiś skarb.

– Mój tata mówi, że po tylu latach to w pałacu można znaleźć kozie łajno, a nie skarb – wymądrzał się Edzio.

– To pójdę sama! – wykrzyczała dziewczynka, robiąc przy tym obrażoną minę.

– No dobra, pójdę z tobą – odrzekł łaskawie Edward. – Samej cię nie puszcę, bo cię Szerber zeżre – dodał.

Dzieci poszły w stronę ruiny Pałacu w Gądnie. Na terenie zabytku kręcili się robotnicy, którzy powoli kończyli swój dzień pracy. W końcu opuścili oni teren budowy. Na taki rozwój wypadków czekali Majka i Edek. Dzieciaki przecisnęły się pod odgradzającą nieruchomość od drogi siatką i udały się do przypałacowego kawałka parku. Wzrok dziewczynki przykuł mech, rosnący pod korzeniem drzewa.

– Edwardzie – zaczęła nieśmiało Majka – ta roślina, ten mech, jest z mojego snu.

– Przecież to jakieś kozie łajno, jakiś glon – zaśmiał się chłopiec, po czym skoczył w pobliże korzenia, podnosząc mech i podając go Majce.

W chwili, gdy dziewczynka uniosła glon, stała się rzecz niezwykła. Roślina zaczęła falować raz w lewo, raz w prawo. Przestraszona Majka upuściła swoją zdobycz, jednak ta nie przestawała się ruszać. Po kilku minutach mech mienił się przepięknymi barwami. Dzieci oglądały ten spektakl lekko wystraszone, ale nie mogły wyjść z podziwu dla tego dziwnego zjawiska. Nagle z rośliny wyleciał jak z armaty jasnowłosy młodzieniec o czerwonym licu i błękitnych oczach.

– Szerber! – krzyknęła Majka.

Blondyn zawołał:

– Czerwbiel kurwa! Czerwbiel!



Adam i Gerard Nibybyłowski
Jak to daleko

Ja naprawdę, naprawdę wróciłem.

A chwilę potem wydawało mi się, że zaraz odejdę. Poczulem, jak moje ciało boleśnie przebija się przez taflę wody. Wpadłem z impetem w mętną toń. Ustawiłem współrzędne na plażę, ale widocznie wylądowałem na środku jeziora. Zdezorientowany zacząłem się szamotać. Władzę nad kończynami odzyskałem dopiero przy samym dnie. Uderzyłem plecami o coś twardego. Zgrzyt. Metaliczny hałas. Odskoczyłem, ale nurt znów pociągnął mnie w tamtą stronę.

Dawno nie pływałem i dopiero teraz sobie to uświadomiłem. Powoli przyzwyczailem wzrok do wód jeziora, a kończyny i ogon do spokojnego, harmonijnego wiosłowania. Po chwili zaczął wracać mi też węch i słuch. Woda pachniała i smakowała znajomo i nieznajomo zarazem.

Pamiętałem Mohriner See z dzieciństwa i to na pewno było to miejsce, ale trochę inne; starsze i dojrzalsze, jak ja. Nie pamiętałem niesamowitego, metalowego kształtu na jego dnie. Opłynąłem go dookoła, starając się dostrzec cokolwiek znajomego. Wpierw myślałem, że to specyficzna łódź podwodna, ale przecież wtedy nie tkwiłaby tu zatopiona. Statek kosmiczny? Raczej nie. Pozostałości skrzydeł i śmigła świadczyły o tym, że służył do latania, chociaż obiekt wyglądał na bardzo prymitywny. Nie pamiętałem, żeby na ziemskim niebie latało cokolwiek poza ptakami, ale widocznie przez niecałe dwieście lat, kiedy mnie tu nie było, cywilizacja zrobiła spore postępy. Płynąc do brzegu, zastanawiałem się, czy pod pałacem jest lądowisko statków powietrznych.

Wypełzłem na piasek i otrzepałem skafander z wody. W nieruchomej tafli dostrzegłem swoje odbicie. Jasna, drobna postać na patykowatych nogach. Długie, białe, falujące na wietrze włosy i okrągłe, czerwone oczy. Znajomy widok. Kiedyś często tu przesiadywałem, chociaż wówczas nie miałem na sobie skafandra, tylko zwiewne ludzkie ubrania. Zresztą niezbyt wygodne; w dodatku białe, więc szybko je brudziłem.

Dookoła pełzała gęsta mgła; taka, że nawet mój wzrok nie potrafił się przez nią przebić. W ciemności widziałem nieliczne migające w oddali światła Guhden. Trafiłem na dobry moment: wieś głęboko spała.

Szedłem powoli plażą, zamazując końcówką ogona moje ślady. Czułem się trochę nieswojo. Wszystko prezentowało się nieco inaczej, dziwniej. Niektóre drzewa wydawały mi się wyższe i gęstsze, niektórych w ogóle brakowało; pomiędzy zaroślami widziałem zarysy obco wyglądających łódek. Liczyłem, że chociaż jezioro, które kiedyś próbowało mnie połknąć, teraz przywita z otwartymi ramionami, ale myliłem się.

Zacząłem szukać wzrokiem tego, co bliskie. Dostrzegłem pochylone tuż nad taflą wody, znajome drzewo i głązy z wywierconymi dziurkami. Nie wszystkie stały na dawnych miejscach, ale znalazłem swój ulubiony. Wskoczyłem na niego i przycupnąłem nad dziurką, owijając wokół siebie ogon.

Kiedy przychodziliśmy tu odpoczywać, przybrany ojciec opowiadał mi o nich niesamowite historie. Potem straszylem nimi siostrę. Zawsze się bała, jak opowiadałem o pradawnych ustawiających kamienie gigantach, a potem o tabolarach i mrocznych rytuałach odprawianych w środku nocy przez przedwiecznych Słowian, błogosławiących wodę zgromadzoną w zagłębieniach. Służba pałacu też czasem ją stamtąd zbierała.

Ciekawe, co siostra powiedziała na moje historie o kosmosie i międzygalaktycznych podróżach, rozmyślałem, wodząc palcem dookoła wgłębienia w skale. Kiedyś wlałem tam wody i wpuściłem małą rybkę, a ojciec skrzyczał mnie, że nie powinienem igrać z duchami, bo inaczej zabrają mnie z powrotem i zdziczeję, i nie będę mógł wrócić do rezydencji. Potem przez kilka dni nie mogłem zasnąć.

Poszedłem dalej. To były już nasze tereny; moje tereny. Rozległy, pełen drzew park, gdzie czał się nieduży, sztuczny staw i fontanna z częściowo zatopionym drzewkiem. Trzymaliśmy tam sprowadzane z daleka, kolorowe ryby. Wyglądały smacznie i czasem próbowałem je łowić i jeść.

Z ciekawości poszedłem w kierunku oczka, ale znalazłem tylko zarośnięte, nierówne, prostokątne wgłębienie. Wyszło już z mody? A może okazało się za trudne w utrzymaniu? Zacząłem żałować, że nie poczytałem więcej przed wyjazdem, ale przecież minęło tylko dwieście lat. Nie mogło się tutaj tak dużo zmienić.

W oddali widziałem już zarys pałacu. Jawił się nieco inny niż wcześniej, ale oczekiwałem, że został rozbudowany, powiększony, przemaalowany, a skoro mieli tu obiekty latające, może dobudowano lądowisko obok stajni. Stajnie... Chętnie bym je odwiedził, ale konie spowodowałyby sporo hałasu, a nie mogłem zostać przez nikogo zauważony. Przeszedłem tylko zabrać jedną rzecz ze skrytki, trochę powspominać. To wszystko.

Nigdy nie uważałem się za prawdziwą część tego miejsca, mimo że czułem się tu jak w domu.

Powoli skradałem się do zamku, a jego monumentalna, szlachetna sylwetka stopniowo wyłaniała się z mgły. Zdziwiło mnie, że oświetla ją tylko pojedyncza latarnia. Wcześniej drogę wyraźnie rozświetlały rzędy lamp gazowych; tak, żeby każdy mógł tu trafić. Czy coś się stało? Coś się popsulo? Z każdym krokiem narastał we mnie niepokój. Żałowałem, że nie

zabrałem żadnych ułatwiających widzenie przyrządów, bo mgła otulała mój dawny dom szczelną, nieprzenikliwą warstwą.

W końcu to zobaczyłem.

Ruina.

Mój dom to ruina.

Podbiegłem w pierw do miejsca, gdzie powinna stać chrzcielnica, ale jej również nie znalazłem. Przy wejściu brakowało lwich posągów i gryfów. Ruszyłem do ryzalitu, a potem do głównego wejścia. W porównaniu do tego, co miałem w głowie, pałac był cieniem swojej dawnej świetności. Nad wejściem nie widziałem zdobień ani orłów, a z rozet została tylko jedna, samotnie tkwiąca spory kawałek nad moją głową. Pachniało gruzem, smutkiem i starością. Oparłem się o kawałek płotu przed budowlą i obserwowałem ją bez wyrazu. Nadal wyglądała pięknie, na swój sposób; ale to nie to samo, co dawniej.

Co się tu zdarzyło? Dlaczego? Pytania pojawiały się w mojej głowie i znikwały, bo nie potrafiłem udzielić na nie sensownej odpowiedzi. Na płocie zauważyłem dziwny kawałek plastiku z napisami po polsku i zdjęciem. Język też się zmienił i prawie nic nie mogłem odczytać, poza tym, że na miejscowość mówiono teraz Gądnio. Napisano też jakiś numer, jakieś cyferki, ale ich nie rozumiałem. Nie przypominało to danych z interfejsu w moim statku ani języka żadnej innej rasy, którą znałem, a ze względu na obecny zawód znałem ich wiele.

Wślizgnąłem się na podwórze i oparłem o stary jesion. Prawie nic nie zostało z błękitno-białych płytek. Często zdarzało mi się ślizgać na nich zimą, bo łatwo pokrywały się lodem. Ciężko wspierałem się na to, co zostało ze schodów wejściowych i stanąłem pod łukiem przed płycinowymi drzwiami, a potem popchnąłem jedno ze skrzydeł i wszedłem do środka.

Korytarz główny zdawał się cichy i spokojny, zupełnie inny niż za czasów, kiedy tu mieszkałem. Zawsze ktoś tędy przechodził, coś prznosił, coś ustawiał, sprzątał. Kiedyś podczas gonitwy prawie zbiłem zwisającą z góry kryształową lampę. To, co zostało z tamtych czasów, było mi na tyle bliskie, że moja wyobraźnia uzupełniała wszystko zgodnie ze wspomnieniami. Odskokczyłem, żeby nie dotknąć niewidzialnej szafki z jasnego drewna, a potem bezwiednie wyciągnąłem rękę do nieistniejącej już klamki.

Trafiłem do głównego holu. To tutaj zaczęła się moja historia: wyłowiono mnie z jeziora Mohrin w worku z białymi szczeniakami. Friedrich von Mülheim, którego dopiero później zacząłem nazywać ojcem, postanowił uratować skazane na śmierć psy. Nie wiadomo, kto je wyrzucił; może mieszkaniowiec wsi naprzeciwko, a może ktoś z Guhden. Nie pamiętałem tej historii, ale kiedy rodzina wspominała ją podczas rozmów, wyobrażałem sobie, że na

połyskującej podłodze holu leżał duży, ruchliwy i piszczący worek. Stojące we wnękach postacie, jedna męska, druga żeńska, rzeźbione przez włoskiego mistrza-artystę, spoglądały karcąco w stronę mojej matki, która rozcięła worek i zaczęła wyciągać mokre, podtopione szczenięta. Dwa nie żyły, dwa zdechły krótko potem, jeden przeżył. Kiedy wydobyto je z worka, nagle matka podniosła krzyk:

– Przecie to nie szczenię, toć to dziecko!

Nie pamiętałem, kto mnie wrzucił do tego worka, czy sam zakradłem się do oszczenionej suki i trafiłem tam przypadkiem, ani jakim sposobem w ogóle zjawiłem się na tej planecie. Oni też nie wiedzieli. Nikt wówczas nie znał pojęcia *kosmity* ani tym bardziej *wszechświatów równoległych*, a wszystkie odstępstwa od normy przypisywano magom, zmorom i bogom.

Wtedy jednak mogłem przypominać nie bożka, nie zmorę, a faktycznie szczeniaka: fragmenty białego futra, długie, jasne włosy, ogon, duże, czerwone ślepia, wydłużona twarz, dziwna, nieludzka anatomia. Zajęli się mną trochę jak dzieckiem, trochę jak psem, a trochę jak demonem. Ostrożnie, ale troskliwie. Myśleli, że napotkali stwora z bai. A każdy rozsądny gospodarz wie, że mityczne przychylne domostwu stworzenie przynosi dobrobyt; starali się więc, by niczego mi nie zabrakło.

Wkrótce zostałem częścią rodziny von Mülheim. Do dziś używałem nadanego mi przez nich imienia, mimo że wiedziałem, skąd pochodzę; i że nie byłem żadną słowiańską potworą. Powoli wyszedłem z holu, spoglądając ze smutkiem na puste wnęki, gdzie wcześniej stały piękne posągi. Czas leciał, a ja musiałem znaleźć moją tajną skrytkę. Ruszyłem w kierunku sali balowej.

Układ pomieszczeń okazał się dokładnie taki, jaki zapamiętałem. Gdzieniegdzie przyjaźnie i ciepło błyszcząły w mroku cudem ocalałe fragmenty zdobień. Część rzeźbionego liścia, malowane pod nieistniejącym sufitem wzory. Wtedy, gdy pałac jeszcze tętnił życiem, ślizgałem palcami po tych kolorowych kreseczkach i zawijasach, po chropowatej, przyjemnej w dotyku farbie. Czasem je liczyłem. Porachowałem ich setki, nie... wręcz tysiące, ale faktyczna liczba już zatarła mi się w pamięci. Mimo wszystko dobrze pamiętałem ich barwę. Niegdyś w tych ścianach malarze zakłęli magiczny ogród. Niebiesko-czerwone zygzaki, błękitne roślinki pozwijane w okrągłe, spiralne kształty zwieńczone drobnymi listeczkami, zielone pędy pnące się wzdłuż ścian, fałszywe, iluzoryczne okna, a wewnątrz nich wędrujące namalowane postacie. Zaglądałem w nie dla zabawy, tworząc w głowie opowieści o osobach, które tam się znajdowały. O te okna spytałem kiedyś mamę.

– Są tutaj po to, by było pięknie – odpowiedziała wówczas bardzo niejasno.

Po latach domyśliłem się, że miały one dopełnić kompozycję pomieszczeń. Tam, gdzie nie mogły istnieć okna, malowano je. Właśnie po to. *By było pięknie.*

Wtedy, gdy jeszcze tu żyłem, centymetr po centymetrze badałem każdą część domu. Mojego domu. Wykrzywiałem się do pulchnych, ludzkich buź putto, pieszczotliwie głaskałem liczne gryfy i smoki, będące nieruchomym zwierzyńcem tego miejsca. Ich rzeźby stały wszędzie. Lwy, smoki, gryfy... Nigdy ich tutaj nie widziałem na żywo, mimo to zawsze fascynowały mnie te poskręcane ciała, rozwarte w ryku szczęki, zaciśnięte pazury i szpony, drobne pióra na skrzydłach. Nosiły w sobie pewną groteskową dostojność, chociaż w opowiadanych przez ojca przy kominku bajkach zwykle stawały się zagrażającymi ludziom potworami. Lubilem wsłuchiwać się w te historie w zimowe wieczory. Wówczas wewnątrz kaflowych pieców strzelał jasny ogień, połykając rzucane do środka przez służbę drwa. Ojciec siadał w swoim ulubionym fotelu i opowiadał historie; znane i nieznanne. Prawdziwe i nieprawdziwe.

Pałacowe statuetki nazywałem imionami stworzeń z opowieści ojca. Wyobrażałem sobie, że czasem, kiedy spałem, ożywały i jeśli obudziłbym się w odpowiednim momencie, zobaczyłbym ich ruch.

Miałem wówczas wszystko i nie wiedziałem niczego.

Sala balowa nadal sprawiała wrażenie ogromnej, chociaż teraz już dużo mniejszej, niż mi się wtedy wydawało. Kiedyś rysowała się inaczej; pełna przepychu, z błyszczącymi żyrandolami u sufitu i gładką posadzką, po której ślizgałem się wraz z siostrą, pływając w tańcu. To właśnie tutaj organizowano ogromne uroczystości. Przybywali liczni goście, dźwięczała cudowna muzyka... Właściwie nawet teraz słyszałem melodię. A może był to tylko wiatr świszczący w dziurawych ścianach i wybitych oknach?

Na chwilę dałem się ponieść wspomnieniom. Kucnąłem w kącie, tak jak wtedy, gdy musiałem się ukrywać przed zjeżdżającymi na bankiety gośćmi. Moje myśli wypełniło brzmienie skrzypiec i ludzki śpiew. Powietrze zrobiło się ciepłe i przyjemnie pachnące perfumami możliwych, których tożsamości nie znałem. Szmer rozmów mieszały się z szelestem barwnych, wzorzystych tkanin, pobrzękiwaniem sztuców i dźwiękami pięknej, białej porcelany w błękitnie wzorki, będącej kolekcjonerską dumą mojej matki.

Przytuliłem do siebie kitkę ogona, zanurzając w nią nos. Pochłonięty wspomnieniami nie zważałem na upływający czas. Dlaczego teraz nie organizowano spotkań? Gdzie podziła się muzyka? Co stało się z tymi wszystkimi ludźmi? Odeszli? Dlaczego? I dokąd?

Poczułem narastającą gulę w gardle. Pokręciłem gwałtownie głową. Ocknąwszy się z zamyślenia, rozejrzałem się ponownie. Z ciemności wychylały się grudy ziemi i kurz. Powoli zbliżał się świt, a ja dalej nie znalazłem tego, po co tu przyszedłem.

Skrytka, w której chowałem moje cenne skarby, powinna być zagrzebana pod stosem odłamków cegieł i kamieni. Odetchnąłem z niemałą ulgą. Może nikt jej do tego czasu nie odkrył. Wszystko inne, co znajdowało się w domu, zniknęło. Nie uświadczyłem już żadnych mebli, obrazów, luster, zegarów, smoków i gryfów; nawet ornamentów. Zostały tylko nieliczne drobne wycinki z przeszłości i podupadająca pod naporem tych wielu lat konstrukcja budynku; ale nie widziałem nigdzie szczątków drewna czy tkanin. Ani nawet szkła.

Dopiero teraz doszło do mnie, że ktoś porządkował to miejsce.

Drewnianą podłogę w holu pozbawiono gruzu. Chociaż wszędzie czułem zapach mokrej ziemi i roślin, to w wielu miejscach panował porządek. Drewniane bele podpierały miejsca grożące zawaleniem. Rozejrzałem się pobieżnie. Brakowało mi czasu, by głębiej się nad tym zastanawiać. Zabrałem się do pracy.

Większe kamienie i cegły usunąłem na samym początku. Co chwila uciekała spod nich jakaś jaszczurka albo pająk. Starałem się, by kupa gruzu nie osunęła się na już oczyszczone miejsce. Znalazłem kilka drobnych fragmentów zdobień. Z namaszczeniem odkładałem je na bok i wracałem do pracy.

Zamierzałem tylko tu przyjść, otworzyć skrytkę, zabrać co moje i wyjść, zanim ktokolwiek się zorientuje. Nie spodziewałem się, że to wszystko zajmie mi tak dużo czasu. Że mój dom będzie tak wyglądać. Że nie wiedziałem, jak to wszystko było dawno, jak to daleko: dwieście lat. Próbowalem nie dopuszczać do siebie myśli o tym, że wszystko już stracone. Że o tym miejscu pamiętały tylko moje zatarte wspomnienia.

Tymczasem kupa gruzu topniała, ale bardzo powoli. Często chwytałem losowe, drobne, ulotne, nachodzące mnie w tym miejscu myśli. Co się stało z moją rodziną? Może się wyprowadzili? Tego nie wiedziałem. Mogłem tylko snuć domysły, które za każdym razem grzęzły w ciemnym, strasznym punkcie. W końcu doszło do mnie, że nie chciałem znać prawdy. Bałem się jej.

Świt zbliżał się nieubłaganie. Rozejrzałem się dookoła budynku za czymś, co mogłoby przyspieszyć pracę. Zauważyłem oparty o jedną z belek przy ścianie szpadel. Pamiętałem, że takim przedmiotem ludzie kopali w ziemi doły, postanowiłem więc, że użyję tego prymitywnego narzędzia.

Obsługa szpadla nie była szczególnie skomplikowana, nawet jeśli nie został przystosowany do mojej anatomii. Z przyrządem w dłoniach dużo łatwiej usuwałem sypki piach i drobne kamienie. Skrytka znajdowała się na samym dnie; skonstruowana raczej trywialnie, jeśli wziąć pod uwagę, z jak rozbudowanymi urządzeniami miałem teraz do czynienia na co dzień. To tylko ruchoma część drewnianej podłogi, pod którą, będąc dzieckiem, wydrążyłem dziurę. Na początku zatykałem ten ubytek znajdującymi w różnych miejscach domu szmatkami. Musiałem to robić, inaczej deska zapadała się i mogła zostać odkryta. Dopiero po czasie zorientowałem się, że będzie to idealne miejsce na moje drobiazgi: na kilka ładnych kamyczków, na żołędzie, na orzechy, na pluszowe zabawki, na drewnianego konika, na mały, zakrzywiony nóż, z którym biegałem po plaży dookoła jeziora. Lubiłem się czaić na przechodzących w okolicy ludzi i ciachać ich w pięty – dla zabawy; ale kiedy dowiedział się o tym ojciec, za karę przez miesiąc nie mogłem wrócić nad wodę.

Otrząsnąłem się z tych przemyśleń i zacząłem szukać kryjówki. Wymacałem ją palcami. Brudna, zniszczona, stara deska. Uniosłem ją.

Moim oczom ukazała się pustka.

Nie zostały tam nawet kolorowe szmatki. Wszystko przepadło. Usiadłem na gruzie, ściskając w rękach wierną łopatę.

Więc i one przepadły. Wiedziałem, że muszę odejść, ale straszna bezsilność utrzymywała mnie kucającego przy dziurze. Desperacko odtrącałem natłok myśli i wspomnień. To nie czas i miejsce na żale.

Zacząłem zasypywać odkrytą skrytkę. Nie powinienem zostawić po sobie najmniejszego śladu.

W oddali usłyszałem nieznanę mi powarkiwanie. Nadstawiłem uszu, ściskając w dłoniach rączkę od szpadla. Warkot stopniowo stawał się głośniejszy. Coś się zbliżało; coś nieznanego.

Wyjrzałem przez dziurę w oknie. Zostały w niej resztki zbutwiałej ramy. Strzepnąłem kilka zaschniętych liści, które z szelestem zniknęły w trawie. Z ciemności wyjrzały dwa jasne punkty, a potem pod pałacem stanął pojazd. Wyglądał dość prymitywnie, ale nie miał już przytwierdzonych do siebie koni.

Ze środka wyszli ludzie. Nie znałem ich twarzy. Mówili po polsku, chociaż wielu słów kompletnie nie rozumiałem. Przeszli przez ogrodzenie. Zbliźali się w moją stronę, więc wsunąłem się w głąb budynku, uważając, by nie hałasować. Nie mogłem pozwolić, by mnie zauważyli. Domyślałem się, że to właśnie oni sprzątnęli gruz.

– Kolejny dzień, kolejne poszukiwania... – usłyszałem. Miły głos odbił się od ścian pomieszczeń. A więc czegoś tutaj szukali? Tak jak ja...

– Patrz, ktoś tu przyszedł nocą – rzekł inny. – Cholera... Czegoś szukali. Patrz, strasznie tu rozgrzebane.

Zbliżali się powoli do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą siedziałem. Schowałem się w cieniu, obserwując każdy ich krok.

– Chyba łopatę ukradli – usłyszałem pomruk niezadowolenia. – Mam nadzieję, że niczego nie zniszczyli. Ręce opadają...

Ogarnęła mnie bezradność. Nie chciałem ukraść tej łopatki ani tym bardziej zniszczyć niczego, co zostało z mojego domu. Zastanawiałem się, czy to oni zabrali należące do mnie rzeczy, a jeśli nie to w takim razie kto. I kiedy?

Tymczasem osoby rozeszły się po budynku. Próbowałem znaleźć wyjście, wyślizgnąć się i wrócić do miejsca, skąd powinien mnie odebrać statek kosmiczny z moją załogą. Prawie się udało, ale nagle dwoje ludzi niemalże zastąpiło mi drogę. Wtuliłem się we wnękę przy murze. Jeszcze chwila, a słońce zacznie wschodzić, pomyślałem.

– Dziwne, że ktoś kopał w tamtym miejscu. Rzeczy z sali balowej dawno powynoszono... – Mimowolnie słuchałem toczącej się obok rozmowy. – I jeszcze ta łopata...

– Szkoda, że nie spróbował z nami porozmawiać. Może opowiedziałby coś więcej o pałacu i o tym, jak wyglądał w środku, kiedy w nim mieszkał, kim był... W końcu wiedział, gdzie konkretnie kopać.

– Chcesz pytać złodzieja? – Głos wydawał się nieco zdenerwowany.

– Czemu nie? Przydałaby się jakaś szkatułka ze zdjęciami wnętrza z przeszłości. Za to można wybaczyć ten szpadel, prawda? A teraz do pracy. Dziś musimy wyczyścić cały ten kawałek. Może akurat znajdziemy coś, co nie jest jaszczurką ani padalcem.

Odwrócili się na chwilę, więc zacząłem się przekradać. Wszystko szło gładko. Kiedy dotarłem do linii drzew, kosmyk włosów zaplątał mi się w niską gałązkę, sprawiając, że się złamała. Syknąłem z bólu. Rozmawiające w oddali postacie obróciły się w moją stronę. Zacząłem uciekać w kierunku jeziora.

– Widzieliście?! Białowłosa zjawia z czerwonymi oczami! Szerber! To przecież nasz Szerber!

Powtarzali w kółko moje imię, jakby mnie znali, a ja biegłem ze wszystkich sił. Nic nie rozumiałem. Byłem spóźniony. W rękach nadal trzymałem łopatę. W biegu i stresie zapomniałem ją odłożyć.

– Szerber! Nie widzieliście? Tu, przy lesie. O, zobaczcie. Zostawił nawet kosmyk włosów na gałęzi... – usłyszałem jeszcze, a potem odbiegłem już zbyt daleko, żeby cokolwiek zrozumieć.

Niecały rok później.

– Co to jest? Kto to tutaj zostawił?

Tym razem byłem gotowy i założyłem pełny skafander kamuflujący. Przyczałem się na murze i przyglądałem się oglądającym nowe znalezisko ludziom; tym samym, którym wcześniej zabrałem łopatę. Sam je podrzuciłem – nie chciałem, żeby złościli się, że zabrałem im ważny przedmiot, a pamiętałem ich słowa mówiące o szkatułce ze zdjęciami.

W międzyczasie porozmawiałem ze znajomymi ekspertami od Ziemi i dowiedziałem się, jak wyglądały te przedmioty. Łatwo zdobyłem szkatułkę, od kolekcjonera; natomiast ze zdjęciami było trochę trudniej. Zamiast ich szukać, po prostu zdecydowałem się zgrać wszystkie dane z moich własnych wspomnień i wydrukować je w formie nieruchomych, ziemskich zdjęć. Nie wiedziałem, czemu nie woleli dostać kolorowych, pełnowymiarowych hologramów w 3D, ale przyzwyczałem się, że niewiele rozumiałem z ich kultury.

– Zdjęcia! Patrzcie... przecież to nasz pałac. Jest cały wystrój, meble, posągi, prawie każdy pokój. A tu ten zielony piec kafłowy w całości, piwnica... Ile one mają lat? Skąd się to tu wzięło? Kto tu był?

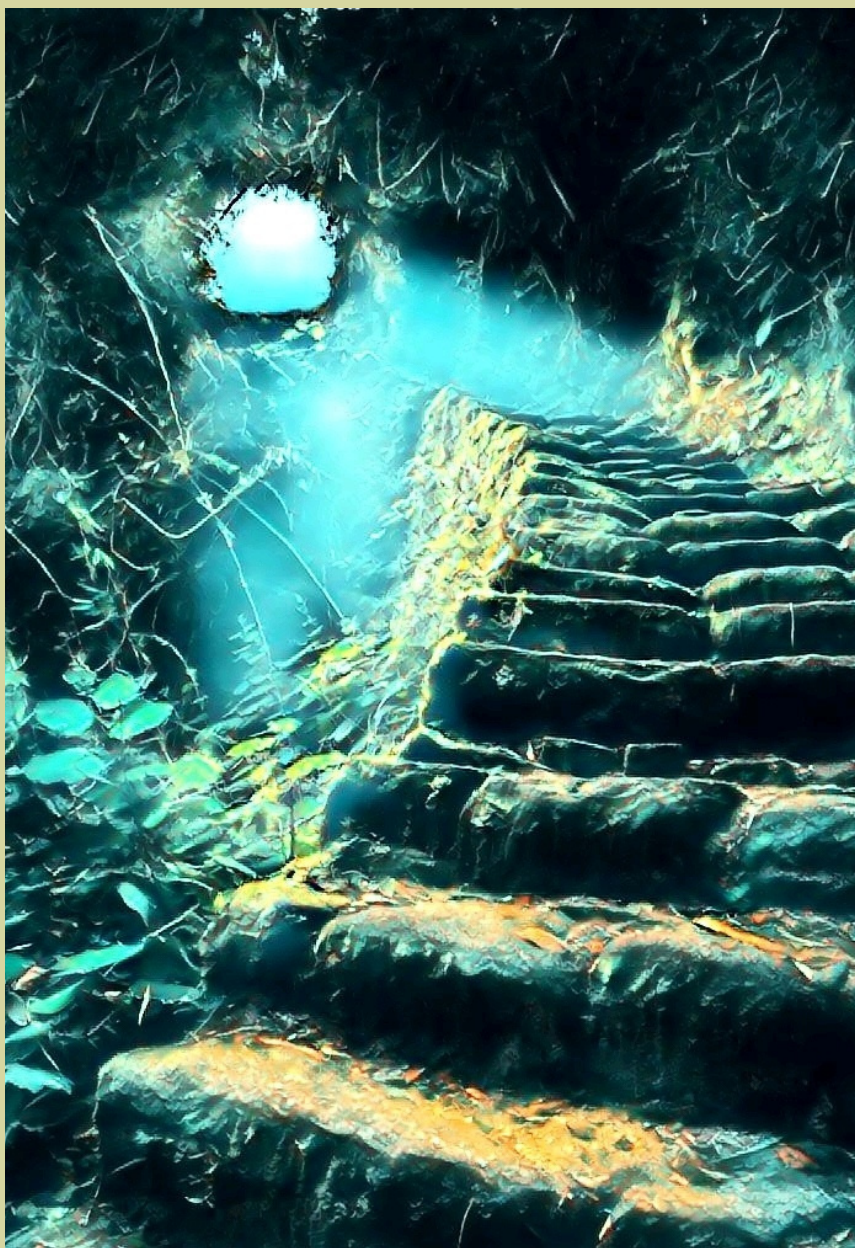
Rozglądali się dookoła, ale nikt mnie nie widział. Byłem szczęśliwy. Może niedługo pałac będzie wyglądał podobnie; jak za mojego dzieciństwa. Wszyscy oglądali zawartość szkatułki, kręcili się, rozmawiali; czasem tak szybko, że nie nadążałem. Nagle jedna osoba odeszła i wróciła z maskotką i małą karteczką w rękach. Zabawka przypominała trochę moją; tą, którą zostawiłem w skrytce w sali balowej dwie setki lat temu.

– Nie wiem, kto nas odwiedził, ale może jeszcze wróci. Może to sam Szerber zechciał, żebyśmy naprawili jego pałac, żeby znów mógł tu mieszkać. Kto wie? Może już mu się znudziły głębie Morzycka. Zostawię temu tajemniczemu darczyńcy maskotkę. Jest szansa, że jeszcze wróci i coś nam opowie albo chociaż niech wie, że ma naszą wdzięczność.

Przede wszystkim zależało mi na tym, żeby nie złościli się za tę skradzioną łopatę. Chwilę wdychałem świeże, spokojne, ziemskie powietrze, a kiedy się rozeszli, sięgnąłem po maskotkę. W końcu była dla mnie, tak jak powiedzieli; dla Szerbera.

Miło, że przetrwałem w pamięci, mimo że rodzina raczej starała się ukrywać mnie przed większością osób. Właściwie nadal nie wiedziałem, skąd współcześni znają moje imię,

ale potrafiłem sobie wyobrazić, że pewnie ktoś napisał o mnie jakąś straszną baję dla dzieci i wszystko w niej przekręcił.



Justyna Wiejkuc

Komisarz Karmel i tajemnica klamki

– Karmel, zaczekaj chwilę! Jesteś już spakowany na urlop na końcu świata? – usłyszał zza pleców lekko ironizujący głos.

– Zobaczysz, jeszcze będziesz chciała odwiedzić Moryń – odpowiedział komisarz Karmel.

– Jeżeli już to tylko z wami – uśmiechnęła się zaczepnie Olga.

– Nie jest to wykluczone – odbił piłeczkę.

– Na taką odpowiedź liczyłam. Proszę, uważajcie na siebie. Za dobrze was znam, aby zapomnieć, że przyciągacie dziwne sytuacje.

– Będziemy pamiętać, aby nic nam się nie stało! Do zobaczenia.

Karmel przytulił Olgę na pożegnanie i udał się w kierunku drzwi wyjściowych Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku.

Karmel, komisarz Karol Karmel, od jakiegoś czasu czuł, że Olga traktowała go inaczej, niż resztę chłopaków z komendy. Chyba mu to nie przeszkadzało. Co więcej, możliwe, że i ona mu się podobała, ale jego introwertyczna natura i zmysł detektywa dyktowały nieustanną analizę. Był mężczyzną, za którym oglądałyby się kobiety, gdyby tylko był gdzieś poza pracą i swoim domem. 190 centymetrów wzrostu i umięśniona sylwetka Karmela zawsze robiły wrażenie. Kochał zachody słońca, dzięki którym jego piwne oczy nabierały bursztynowego odcienia, a brązowe włosy pokrywały się miodowym błyskiem. Jednocześnie coś szalenie pociągało go w sztormowej odsłonie wzburzonego morza, nad którym wisiały ciężkie chmury.

Charakteryzowała go również pasja do legend. Był właścicielem okazałej kolekcji bogatych w lokalne historie z całej Polski, a nawet i Europy publikacji. Każdy jego urlop to podróż śladami wyselekcjonowanych na ten czas opowieści.

W tym roku padło na Moryń; miasteczko leżące nad jeziorem Morzycko, w północno-zachodniej Polsce, w województwie zachodniopomorskim, w powiecie gryfińskim. Na samą myśl o diabelskich legendach tej okolicy i licznych głazach narzutowych robiło mu się ciepło na sercu.

Komisarz Karol Karmel i jego wilczur Jantar mieli przed sobą długą podróż samochodem. Dlatego też po powrocie do domu wrzucił do plecaka ostatnie rzeczy z „listy do spakowania na wyjazd” i położył się spać.

Następnego dnia po ponad pięciu godzinach w trasie znaleźli się w Moryniu. Karol jeszcze przed rozpoczęciem poszukiwania odpowiedniego noclegu nie był świadomy, że znajdzie tak wiele opcji. Zależało mu na tym, aby mieszkać w domku nad jeziorem, gdzie będzie akceptowana obecność psa. Po znalezieniu idealnego miejsca zarezerwował je na

tydzień. Jego urlopowy plan zakładał kilka punktów: zobaczyć wszystkie wschody i zachody słońca nad jeziorem Morzycko, odwiedzić kamienny ogród z głazami narzutowymi, znaleźć głazy związane z okolicznymi diabelskimi legendami... Jego plan na ten moment – drzemka.

Obudził go ból w klatce piersiowej. Gdy otworzył oczy, zobaczył psi pysk tuż nad swoją twarzą. Źródłem dyskomfortu był siedzący na nim Jantar, który chciał przypomnieć panu o tym, że czworonożnego przyjaciela trzeba czasem wyprowadzać.

Nogi poniosły ich aleją Gwiazd Plejstocenu. Wilczur kilka razy gotował się do ataku, widząc prażubra, mamuty, jelenia olbrzymiego, niedźwiedzia jaskiniowego, konia Przewalskiego czy łośia północnego. Idąc wzdłuż murów obronnych, doszli do skomponowanego z głazów narzutowych Kamiennego Ogrodu. Stamtąd udali się w kierunku Urzędu Miejskiego i fontanny Wielkiego Raka, legendarnego obrońcy Morynia.

Karmel od razu zauważył wystawę na temat epoki lodowcowej, która pochłonęła go bez reszty. Jantar był mniej zainteresowany, ale cały włożony w jego tresurę wysiłek Karola opłacał się właśnie w takich momentach. Pies siedział jak zaczarowany obok swojego pana, czekając na komendę. Po skończonej lekturze tablic informacyjnych przyszedł czas na upolowanie czegoś do jedzenia.

Na szczęście czasy epoki lodowcowej już dawno minęły i posiłek mogli zorganizować bez krwawych walk. Z pomocą przyszła Pizzeria Pod Rakiem. Komisarz, Jantar i ich świeżo wyciągnięty z pieca drożdżowy placek z sosem pomidorowym i górą innych składników znaleźli się na plaży. Pizza nie mogła smakować lepiej. W tym przypadku była przyprawiona pierwszym moryńskim zachodem słońca.

Pierwszy moryński wschód słońca osładzał poranną herbatę. Ten dzień zapowiadał się bardzo aktywnie. Na dobry początek stolik do gry diabła, czyli kanciasty głaz narzutowy związany z legendą o czarciu, który przesiadywał na tym kamieniu i grał w kości. Karmel zrobił kilka szczegółowych zdjęć do swojego archiwum i ruszyli dalej.

Przechodząc przez Bramę Północną Morynia, zostali powitani donośnym szczekaniem niewiele mniejszego od Jantara psa. Głośny czworonóg pilnował podwórka obok kościoła pw. Świętego Ducha, do którego właśnie szli. Mimo tego, że budynek zbudowano na planie krzyża z wielu ciosów granitowych, ich najbardziej interesował tylko jeden – ten ze wzorem szachownicy. Nic dziwnego; chyba każdy czytał o przygodach Pana Samochodzika. Szachownica została odnaleziona bez problemu i następne zdjęcia pojawiły się na karcie pamięci aparatu komisarza. Do Czarciego Głazu udali się od razu po wizycie w lodziarni przy Urzędzie Miejskim. Owiany legendą o odmierzaniu oliwy głaz zachwycał swym kolorem i położeniem. Oczywiście, udokumentowano to na zdjęciach.

Po krótkim odpoczynku na ławce wzdłuż drogi przy ul. Żeglarskiej udali się w kierunku ostatniego na ten dzień punktu – głazu będącego diabelskim fotelem. Podobno to najlepsze miejsce na łowienie ryb nad jeziorem Morzycko. Legenda mówiła, że diabeł miał tutaj dobre połowy; ale inni też mogli próbować szczęścia.

Zauważyli, że ktoś siedział na ławce. Jantar umiał prawidłowo reagować na obcych, więc spokojnie podeszli bliżej. Wszystko wskazywało na to, że młody mężczyzna właśnie zrobił przerwę w wycieczce rowerowej.

– Czyżby urlop nad naszym pięknym jeziorem?

– Zgadza się. Czasem porzucam rozwiązywanie zawodowych zagadek na rzecz takich właśnie miejsc – odpowiedział komisarz.

– Jeżeli lubisz miejsca z duszą, owiane aurą tajemnicy to musisz koniecznie odwiedzić Gądno i tamtejszy pałac – zawiesił głos nieznajomy mężczyzna. – No, niestety ruiny pałacu.

– Ruiny? Już mi się ten pomysł podoba. Chyba plany ulegną zmianie i jutro się tam wybierzemy!

– Polecam i przepraszam, ale ja już muszę lecieć. Miłego pobytu. – Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Wskakując na rower, nieznajomy pogłaskał Jantara po głowie.

– Dziękujemy, uważaj na siebie. Kierowcy na drogach wylotowych często mają problem z bezpiecznym wchodzeniem w zakręty.

Następny dzień urlopu zaczął się herbatą o wschodzie słońca i wizją wycieczki do Gądna. Nie była to długa trasa. Mimo wczesnej godziny przy ruinach pałacu panował duży ruch.

Karol wahał się przed opuszczeniem auta. Nie był do końca pewien, czy miał ochotę na kontakt z tak liczną grupą ludzi. Ostatecznie jednak uznał, że w kolejnych dniach sytuacja mogła być podobna i skończyłoby się na tym, że nie obejrzałby ruin. Już z samochodu widział, że nie pożałuje tej decyzji. Głośnie głosy zebranych skutecznie go przyciągnęły.

– Piękna! Wyobraźcie sobie, jak kiedyś się prezentowała. Ciekawe jak dużo jeszcze skarbów uda nam się znaleźć? Właśnie dlatego uwielbiam tu przyjeżdżać!

Podeszli bliżej i krótka obserwacja pozwoliła ocenić, że grupa zajmowała się sprzątaniami terenu. Właśnie znaleźli starą klamkę. Jej lata świetności należały już do historii, ale gdyby mogła, to na pewno przekazałaby mnóstwo opowieści. Zaintrygowała go ta fascynacja przedmiotem.

Nagle Karol poczuł ciężar czyjejs dłoni na swoim ramieniu. Szybko się odwrócił.

– Przepraszam, nie chciałem pana wystraszyć. Mam na imię Gerwazy, pilnuję tajemnicy tego pałacu – zaśmiał się starszy mężczyzna ubrany w ciemne spodnie i marynarkę. Trzymał drewnianą laskę.

– Dzień dobry, komisarz Karol Karmel. Po prostu Karmel. Aktualnie pilnuję swojego psa, Jantara – również zaśmiał się, wskazując na kudłatego przyjaciela. – Może mi pan powiedzieć, co tu się dzieje?

– Oczywiście. W grupie tych ludzi są aktualni właściciele ruin. Chcą doprowadzić pałac do wcześniejszego stanu. Niestety, wymaga to ogromnego nakładu pracy fizycznej oraz środków finansowych. Ze względu na stan swojej nogi nie mogę im pomóc w sprzątaniu, ale swoją drewnianą laską zawsze mogę przegonić nieproszonych gości.

– Jeszcze nic mi pan nie przetrzącił tą laską, więc może zrobię pożytek ze swojej obecności i przyłączę się do sprzątania?

– Świetnie! Już pana prowadzę do Magdaleny. Na pewno się ucieszy. – Uśmiechnął się. – Nie mogę doczekać się, aż zobaczę kolejne znaleziska. Zawsze to może być coś przełomowego – dodał tajemniczo.

Po krótkiej chwili Karmel stał się częścią prężnej maszyny działającej przy ruinach. Poznał plany dotyczące uruchomienia w pałacu punktu rehabilitacyjnego. Chwyciło go to mocno za serce, ponieważ Jantar to mistrz dogoterapii. Dowiedział się także, że Gerwazy czuł się odpowiedzialny za rezydencję – jego przodkowie byli świadkami historii rozgrywających się na tym terenie. Kilka osób śmiało się, że tajemnica, o której mówił, to po prostu liczba cegieł, z której zbudowano pałac. Co nie zmienia faktu, że to Gerwazy był ostatnią osobą, która opuszczała teren zabudowań; pierwszą, która przychodziła rano. Zawsze brustaszę wypełniała mu poszetka z wyhaftowanym herbem rodziny von Mühlheim; dzieło jego żony.

Jedno było pewne, niezależnie od tego, jaką tajemnicę skrywał pałac, Karmel tego dnia przerzucił tyle kamieni, ile jeszcze nigdy wcześniej w jednym miejscu nie widział. Po ciężkim dniu obok ruin pałacu zorganizowano ognisko. Pojawiło się kilka nowych osób ze wsi. Gwar rozmów niósł się przez pobliskie tereny, a charakterystyczny zapach wplatał się w ubrania obecnych. Zmęczony nadzorowaniem prac Jantar spał w samochodzie. Karol długo słuchał Gerwazego, który z pasją opowiadał o historii tego miejsca. Zaczął wierzyć, że tajemnicą pałacu wcale nie były wspomniane cegły.

Następnego dnia komisarz ze swoim czworonogiem pierwsi stawili się pod pałacem; oni i resztki przedzierającej się przez korony drzew mgły. Po kilku minutach zauważyli chodzącą samotnie wokół ruin kobietę. Okazało się, że to żona Gerwazego, pani Antonina. Gerwazy nie wrócił do domu na noc. Myślała, że jej ukochany zasiedział się do bladego świtu

na ognisku. Zamieniała się w coraz większy kłębek nerwów. Dzwoniąc pod numer męża, słyszała tylko komunikat o niedostępnym abonamencie. Karmel szczerze się zmartwił.

– To do niego niepodobne... chociaż często wraca do domu nad ranem. Uwielbia opowiadać historie o pałacu i okolicach, a zawsze znajdzie się ktoś, kto ich chętnie posłucha. Jednak telefon ma zawsze włączony. Ja zazwyczaj wracam do domu sama, przed nim. Wczoraj też tak było – przyznała.

– Przyjechałem dzisiaj tak wcześnie, bo liczyłem na to, że Gerwazy opowie mi coś jeszcze zanim zjedzą się ludzie i zajmiemy się sprzątaniami. – Mimo trybu urlopowego w głowie komisarza zaczynał budować się plan działania. – Czuję, że będę musiał porozmawiać z każdym, kto się tu dziś zjawi. Proszę, niech pani pójdzie do domu. Ktoś musi tam czekać na niego. – Uspokoił panią Antoninę, która niechętnie pozwoliła się odprowadzić.

Mimo braku ustalonej godziny wszyscy pojawili się w pałacu o podobnej porze. Jantar, chociaż nie był psem policyjnym, zaczął przeszukiwać teren przy ruinach, a komisarz Karol udał się w kierunku ludzi z gotową listą pytań.

Udało mu się ustalić, że Gerwazy bardzo długo uczestniczył w ognisku. Cały czas zajmował się rozmowami i nikt nie widział, kiedy poszedł do domu. Dopiero Magdalena, właścicielka pałacu, wniosła coś nowego do zebranych informacji. Przechodziła obok Gerwazego, gdy ten rozmawiał z kimś po niemiecku. Nigdy wcześniej nie widziała tego mężczyzny, ale знаła język zachodniego sąsiada i zrozumiała, że wyjątkowo interesował go „skarb pałacu”. Już wszyscy wiedzieli, że tego dnia nie będzie sprzątania.

Jednak nikt nie opuścił terenu. Cała grupa była gotowa pomóc przy poszukiwaniu. W tym momencie Jantar przecisnął się między ludźmi z czymś w pysku. Wszyscy słuchali wskazówek komisarza, a pies podał mu poszetkę z wyhaftowanym herbem rodziny von Mülheim.

– To należy do Gerwazego! Coś musiało mu się stać! – krzyknęła Magdalena.

– Są na niej ślady krwi – dodał Karmel.

We wszystkich jeszcze mocniej zapaliła się iskra chęci odnalezienia Gerwazego. Wysłuchali poleceń dotyczących przeczesywania terenu i rozeszli się po najbliższej okolicy. Komisarz z wierną asystą Jantara zaglądał do kolejnych domów w Gądnie, licząc na to, że ktoś zwrócił uwagę na obcego Niemca albo na samochód o niemieckich numerach rejestracyjnych. Tylko że takie auto nie było niczym egzotycznym na drogach Pomorza Zachodniego.

W okolicach popołudnia Karol, mając wciąż za mało informacji, odebrał telefon z zaproszeniem na obiad od zmartwionej pani Antoniny. Zgodził się, bo przepytał już

wszystkich, którzy byli w domach. Chciał także sprawdzić, jak czuje się kobieta. Już po chwili siedział przy stole z talerzem z ogromnym, apetycznie pachnącym kotлетem, ziemniakami i surówką. Nawet Jantar załapał się na kawałek mięsa.

Obiad mijał im przy rozmowie, a przez otwarte okno wkradały się podmuchy letniego wiatru oraz ciche odgłosy wsi. Po chwili zmieniły się w bardzo wyraźne dźwięki silnika samochodowego, trzaśnięcie drzwi i słowa wypowiedane po niemiecku. Komisarz skoncentrował na tym całą swoją uwagę. Skończył obiad, podziękował pani Antoninie i wołając rozleniwionego po posiłku Jantara, wyszedł z domu w kierunku człowieka, który nieświadomie przerwał mu chwilowy odpoczynek.

To był pracujący w Niemczech mieszkaniec Gądna. Okazał się tym samym, który polecił Karolowi wizytę w pałacu. Komisarz zadał mu pytania, na które zbierał odpowiedzi od wszystkich mieszkańców wsi. Mężczyzna zeznał, że dzień wcześniej pod jego dom podjechało duże, ciemnozielone auto o niemieckich numerach rejestracyjnych, z którego wysiadł wysoki, barczysty mężczyzna. Szukał on kogoś, kto znał wszystkie związane z pałacem opowieści. Młody mężczyzna polecił mu kontakt z Gerwazym, dokładnie go opisał i dodał informację o tym, gdzie można go znaleźć.

– Czy coś się stało Gerwazemu? – zapytał wyraźnie zdenerwowany.

– Próbuję to ustalić. Na ten moment nikt go nie widział przez ostatnich kilkanaście godzin. Bardzo dziękuję za pana odpowiedzi.

Czas zrobić z nich pożytek, pomyślał komisarz i wrócił pod pałac. Nie było tam niczego, co ułatwiłoby szczegółowe przeczesanie terenu. Zmotywował Jantara do złapania tropu. Nie minęło pięć minut, a wilczur podążył wzdłuż ciągłego śladu w kierunku jeziora. Może to odcisk kół rowerowych? Karmela dogoniła myśl, że mogła go zostawić ciągnięta po ziemi laska Gerwazego. Trop urwały wodne języki Morzycka. Siedząc na piasku Karol, zauważył na tafli jeziora kilka łódek i motorówek.

W tym samym czasie przysiadła się do niego Magdalena ze swoim partnerem, Norbertem. Nie wpadli na żaden ślad. Reszta ludzi, głodna i wyczerpana poszukiwaniami, rozeszła się do domów.

Promienie zachodzącego słońca błyszczały przy brzegu jeziora. Ciekawość Karmela przyciągnął las po drugiej stronie, który też odbijał światło. Na szczęście miał ze sobą plecak z gadżetami ułatwiającymi podróżowanie. Wyciągniętą lornetkę przyłożył do oczu i rozpoczął obserwację brzegu.

To nie las odbijał promienie; to samochód. Ciemnozielony samochód. Co więcej, przy tym brzegu była motorówka! Komisarz przedstawił swoim kompanom uaktualniony plan działań.

Odpalając silnik, poprosił ich o opracowanie najszybszej drogi do tego miejsca. Mrok coraz intensywniej otulał trasę. Komisarz wyłączył światła samochodu i wjechał w leśną drogę. Nie chciał w żaden sposób zdradzić ich obecności. Opuścili pojazd i dalej szli na piechotę.

Między drzewami, nad jeziorem dostrzegli mały, stary, drewniany domek oraz ciemnozielony samochód osobowy, który dotknięty odcieniami nocy wyglądał, jakby był czarny. Zauważyli też dwóch mężczyzn; wsiadając do samochodu, rozmawiali po niemiecku. Zaczęli jechać w ich kierunku. Poszukiwacze Gerwazego w ostatniej chwili schowali się w krzakach. Porywacze odjechali.

To był moment na sprawdzenie chatki. Mała, solidna, drewniana konstrukcja. Idealna na urlop nad jeziorem. Drzwi zamknięto na klucz. Pies dawał sygnały sugerujące, że ktoś znajduje się w środku. Przez okno wkraadało się światło księżyca, które wylewało się na leżącego w środku zakneblowanego człowieka. Sznur krępował jego ręce i nogi, na twarzy dało się zauważyć zaschnięte ślady krwi.

To był Gerwazy. Komisarz podjął decyzję o rozpoczęciu działań. Udało im się wyważyć drzwi i rozwiązać krępujące Gerwazego supły. Posadzili go na krześle i napoili wodą z plecaka Karola. Usłyszeli samochód. Komisarz szybko opracował kolejny plan.

– Zostajemy na miejscach – przyznali zgodnie poszukiwacze.

Doniosłe głosy porywaczy wypełniały las przez opuszczone szyby samochodu. Podjechali bardzo blisko domku. Jeden z nich wysiadł, ale nie zdążył podejść do otwartego bagażnika, ponieważ reagujący na komendę Jantar, rzucił się na jego plecy. Powalił obcego na ziemię i siedząc na nim, czekał na kolejne instrukcje.

W tym samym momencie Karmel wyciągnął z ciemnozielonego samochodu drugiego porywacza i związał mu ręce sznurem, poprzednio użytym do skrępowania starszego mężczyzny. Z tym pierwszym zrobił to samo. Nie dał im chwili na tłumaczenia, bo bardziej zależało mu teraz na Gerwazym. Porywaczami zajęli się lokalni policjanci, którzy w tym momencie przyjechali na miejsce zdarzenia.

Karmel poinformował ich o sytuacji jeszcze przed wyważeniem drzwi do domku. Funkcjonariusze zareagowali błyskawicznie, dzięki czemu do Morynia wracali z dwójką dodatkowych pasażerów. Karmel zapewnił ich, że osobiście zajmie się Gerwazym.

– Bardzo wam dziękuję za pomoc. Proszę, wybaczcie mi. Jestem teraz tak zmęczony, że jedyne czego pragnę to wrócić do domu, do Antoniny – powiedział łamiącym się głosem Gerwazy.

Jego prośba została wysłuchana. Pani Antonina cała we łzach czekała przed domem. Z jej ust dochodziły niekończące się podziękowania. Otuliła Gerwazego kocem. Starszy mężczyzna jedynie zdążył powiedzieć Karmelowi, że zadzwoni do niego tak szybko, jak tylko dojdzie do siebie.

Komisarz z czworonogiem wrócili do Morynia, aby przespać kilkanaście godzin i wschód słońca. Gdyby nie dzwoniący telefon Karmela, przespałoby również zachód. Dzwonił Gerwazy z prośbą o spotkanie następnego dnia.

Tego wschodu już nie przegapili. Powitali słońce, pływając w wodach Morzycka. W Gądnie pojawili się na czas. W domu Antoniny i Gerwazego była Magdalena z Norbertem.

Gerwazy odpowiedział im o tajemniczym mężczyźnie na ognisku, z którym rozmawiał po niemiecku o pałacu. Był nachalny, zalewał go pytaniami o tajemnice budynku. Zaatakował go wraz ze swoim współnikiem. Polała się krew. Gerwazy dał radę tylko utrzymać łaskę. Zapamiętał, że został rzucony na coś twardego oraz to, że zakłócili spokój jeziora warkotem silnika motorówki. Pytania o pałac się nie kończyły, nawet już na miejscu, w drewnianym domku. Gerwazy wiedział, że musiał wytrzymać. Zrzucili go z krzesła, kiedy po raz kolejny nie uzyskali odpowiedzi.

– Dla nas najważniejsze jest to, że jesteś cały i zdrowy – powiedziała Magdalena.

– Jeszcze raz bardzo wam dziękuję. Mam u was dług. Wiem jak go spłacić. Przynieśliście tę klamkę?

Magdalena podała mężczyźnie zawinięta w irchę klamkę. Gerwazy porównał przedmiot z rysunkiem na poślódkiej kartce wyciągniętej wcześniej z opasłego segregatora. Śledził szkłem powiększającym fragment po fragmencie, szukając grawera.

– Antosiu, to jest to! *Introitus lapidi pretioso locus*, wejście do cennego pokoju.

Tylko on i Antonina wiedzieli, o co chodzi. Reszta czekała na wyjaśnienia. Gerwazy odpowiedział o swoim dziadku, który pracując w pałacu, szukał tej klamki. Licząc na rozwiązanie zagadki, pokazał wnukowi tajemnicze drzwi ze specyficznym mechanizmem i poprosił o dochowanie tajemnicy.

Wszyscy spojrzeli na siebie z niedowierzaniem. W każdej głowie kłębiły się pytania. Przecież w pałacu nie zachowały się żadne drzwi. Obietnica złożona dziadkowi? Dlaczego nikt wcześniej nie znalazł tej klamki?

Udali się z latarkami w dłoniach do ogrodu za pałacem. Gerwazy wskazał miejsce, w którym znajdowało się solidnie zamaskowane wejście do tunelu. Nic dziwnego, że nikt go wcześniej nie znalazł. Karmel z Norbertem ledwo poradzili sobie z włazem. Po jego odkryciu i otworzeniu wszyscy weszli do środka. Jantar, trzymając latarkę w pysku, był doskonałym przewodnikiem.

Wnętrze tunelu przypominało schron. Zimne, betonowe ściany. Z wyliczeń Magdaleny wynikało, że znajdowali się pod pałacową piwnicą. Tunel się skończył, a dzięki światłom latarek odkryli ogromne, pokryte płaskorzeźbami z motywami przyrodniczymi drzwi. Liście, kiście winogron, gałęzie. Wielkie, stalowe drzwi, nad którymi były wyryte już znajome słowa: *Introitus lapidi pretioso locus*.

Zamarli w bezruchu na kilka minut, aż Magdalena uznała, że to czas użyć klamkę. Podała ją Gerwazemu. Drzwi w żadnym miejscu nie miały otworu. Jantar zaczął obwąchiwać je od spodu. Od ścian tunelu odbił się metaliczny dźwięk. Okazało się, że pies nacisnął nosem przycisk w drzwiach. Pojawił się otwór na klamkę. Gerwazy włożył ją do środka i docisnął. Na wysokości jego oczu otworzyła się mała skrytka, w której był klucz.

Podekscytowanie unosiło się w powietrzu. Używając całej siły, pociągnął za drzwi. Światłem latarek skanowali każdy odcinek pokoju. Odebrało im mowę. Nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli. Weszli głębiej, aby zrobić miejsce dla reszty. Wszystkie latarki wzięły udział w wydobywaniu blasku z pomieszczenia. Zupełnie jakby oglądali najpiękniejszy zachód słońca wraz z koncertem barw zamkniętym pod ziemią.

– Czy to jest... – zaczęła Magdalena.

– Bursztynowa komnata? – wyszeptał drżącym głosem Karmel.

Nie mylili się. To była bursztynowa komnata. Zapisła tak wiele kart historii. Czekwała tyle lat na to, by zostać odkrytą. Wielu jej poszukiwało, tak niewielu znało jej sekret; mówili, że rozkradziono jej wnętrze, że spłonęła... A ona czekała ukryta pod pałacem w Gądnie.

Piękno zaklęte w odbiciu światła tańczyło po wszystkich płaszczyznach. Miodowy blask kładł się na skórze każdego z zebranych. Nawet cesał sierść Jantara. Siła uroku wszechobecnego bursztynu była nie do opisania.

Stali w towarzystwie niekrępującej ciszy. Nie mogli powstrzymać wyścigu myśli. Ogarniał ich coraz większy zachwyty, który nie pozwalał na to, aby przerwać go jakimkolwiek słowem. Skrzętnie pilnowana tajemnica o ukrytym pokoju musiała w jakiś sposób dotrzeć do niemieckich poszukiwaczy skarbów, którzy porwali Gerwazego. Nawet on nie wiedział, jak drogocennej informacji strzegła jego rodzina. Wykazał się niezłamaną odwagą, kiedy uwięziony przez porywaczy nie sprzedał sekretu za możliwość uwolnienia.

Wynikiem dotyczącej kolejnych związanych z odkryciem kroków dyskusji było poinformowanie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz zaprzyjaźnionych archeologów ze Szczecina, którzy natychmiast przyjechali z niezbędnym do rozpoczęcia badań sprzętem. Jeszcze tego samego dnia aktualnych właścicieli pałacu powiadomiono, że ministerstwo wysłało swoich archeologów. Po wstępnym rozeznaniu, w trybie pilnym, zostaną im przekazane niezbędne na odbudowanie rezydencji środki. Zaraz po tym dotarła do nich wiadomość, że niebawem przyjedzie także zespół archeologów delegowany przez Niemiecki Instytut Historyczny oraz Polsko–Niemiecką Fundację Ochrony Zabytków Kultury. Czego jednym z wyników będzie również wkład w finansowanie odbudowy budynku.

Dzięki bursztynowej komnacie pałac w Gądnie mógł stać się tym, czym był tylko w głowach właścicieli o wiele szybciej, niż zakładał najbardziej optymistyczny plan; miejscem poświęconym rehabilitacji, relaksowi oraz spotkaniom z historią.

To był najbardziej intensywny urlop komisarza Karmela. Kto by pomyślał, że przypadkowa wizyta w Gądnie sprawiła, iż stanie się ono jego ulubionym miejscem na ucieczkę z głośnego Trójmiasta.

– Będziemy tu wracać. – Położył dłoń na głowie Jantara. – Z Olgą – powiedział, podziwiając zderzający się z taflą jeziora Morzycko zachód słońca.



Marcin Wodo

Feniks wpatrzony w altanę czasu

#1 Friedrich w oparach absurdu

Friedrich von Mülheim właśnie przechadzał się po swym pałacu w Guden. Robił to za każdym razem, gdy miał położyć się spać. Lubił wieczorny chłód posadzki pod stopami. Ta chwila w odosobnieniu dawała mu nie tylko wytchnienie od gwarne go, pałacowego życia, lecz również pozwalała snuć wizje przyszłości. Przyszłości tej urodziwej posiadłości, która stanowiła jego oczko w głowie.

Przemierzając kolejny korytarz, przeszedł do hallu. Nagle ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, po przejściu przez próg, poczuł się tak, jakby ktoś oblał go mlekiem. Spojrzał na swoje ubranie, po czym zaczął się gwałtownie wycierać. Jednak nic to nie dało – odzienie pozostawało białe. Po chwili zastanowienia dotarło do niego, że był cały w bieli, jakby wytarzał się w mące.

Jego zdziwienie spotęgowało się, gdy zauważył, iż pod swymi nogami widział zaledwie niewielką część płytek podłogowych, gdyż reszta znajdowała się pod grubą warstwą ziemi. Podniósł głowę.

To nie był jego pałac! Wszędzie leżał gruz i nieznane mu narzędzia. Wyglądało tak, jakby prowadzono prace remontowe. Chwilę później spostrzegł, iż zamiast zdobionego sufitu, ziała ogromna dziura; wlewała się przez nią jasna łuna księżycowego światła. Podniósł machinalnie rękę do góry, a przez jego bladą dłoń przelał się jasny promień. Oniemiał. Był przezroczysty.

Panika – to dobre określenie na to, co nim targało. Zaczął się szamotać, nerwowo biegać dookoła i krzyżeć niezrozumiałe słowa. Trwało to kilka minut; do czasu, aż nie opuścił tego nieznanego mu budynku. Wypadając przez główne drzwi, upadł na stertę cegieł, które znajdowały się przed wejściem. Obrócił się w stronę budowli i spostrzegł charakterystyczny ryzalit – taki sam, jak w jego pałacu w Guden...

Nagle oprzytomniał. Twarz Friedricha wyrażała niedowierzanie. Powoli wstał i ponownie skierował swe kroki do wnętrza, z którego przed momentem wyskoczył. Po przekroczeniu progu rozejrzał się spokojnie i zaczął eksplorować zrujnowany obiekt. Przemierzał liczne korytarze, obecnie w opłakanym stanie, które doskonale znał w innej odsłonie.

Na jednej ze ścian, pomimo panującej ciemności, dostrzegł wizerunek zrujnowanego, umieszczonego na białym tle obiektu. Po przyjrzeniu się mu zauważył kilka słów w obcym języku. Najpierw z trudem przeczytał „kalendarz”, a następnie – „Pałac w Gądnie”. Spostrzegł też liczbę – „2020”. Emocje zaczynały opadać, a w ich miejsce zawitało zmęczenie. Oparł się o ścianę.

To właśnie wtedy zobaczył w mroku, że obok niego nie wisiała pojedyncza ilustracja z podpisem, a kilkanaście złączonych w jeden bloczek stron. Zaczął je kartkować. Jego oczom, oprócz podobizn urodziwych kobiet w białych sukniach, znowu ukazały się niezrozumiałe słowa oraz... zestawienia liczbowe. Zamarł. Dotarło do niego, że przeglądał kalendarz. Przewrócił całość na pierwszą stronę i jeszcze raz przyjrzał się wcześniej widzianej liczbie.

Senność przeminęła w mgnieniu oka. Zaczął z niedowierzaniem kręcić głową i szczypać się po ramieniu. Jednak to nic nie dało; nie mógł obudzić się z tego koszmaru, ponieważ był on rzeczywistością.

Zdumiony całym zajściem wyszedł na zewnątrz i poszedł w stronę malowniczego jeziora. Minęło całkiem dużo czasu, zanim do niego dotarł, jednak widok był tego wart. Zawsze go uspokajał i pozwalał oswoić się z trudnymi kwestiami. Tym razem okazało się dokładnie tak samo.

Usiadł na brzegu i rozmyślał. Miał potężny mętlik w głowie. Zastanawiał się nad tym, jak to możliwe, że znajdował się w swoim pałacu, a jednocześnie rezydencja nie była jego własnością. On przecież nie doprowadziłby tego miejsca do tak opłakanego stanu. Nie mógł także rozgryźć zagwozдки dotyczącej daty na tym nietypowym kalendarzu. Położył głowę na trawie, aby spojrzeć w niebo i odrobinę odpocząć.

Chwilę później już spał.

#2 Pałac podnoszący się z gruzów jak feniks z popiołów

Do uszu mężczyzny dochodził błogi śpiew ptaków. Powoli otworzył oczy. Jego twarz muskał delikatny wiatr, a on ze spokojem patrzył w bezchmurne niebo. Nie mógł uwierzyć, że usnął nad jeziorem. To pewnie dlatego miał takie koszmary. Wstał, otrząsał się i obrócił w stronę pałacu, aby iść na śniadanie.

Chciał krzyknąć, ale brakło mu tchu w piersiach. To nie sen! W oddali widział ten sam widok; ten sam zniszczony budynek, w którym był wczoraj. Wokół niego chodzili jacyś ubrani w pstrokate stroje ludzie. Większość z nich nosiła różne przedmioty, natomiast kilkoro stało obok i na coś patrzyło. Postanowił nie marnować czasu. Pobiegł ile sił w nogach w ich stronę, wołając i wymachując rękami.

Im bardziej się do nich zbliżał, tym wyraźniej widział ich odzienie. Byli ubrani w długie spodnie z założonymi na ramiona szelkami. Ubiór przypominał prawdziwą plejadę barw – od jaskrawej pomarańczy, przez soczystą czerwień i jasną zieleń, aż po ciemny błękit. Brakowało jakiegokolwiek elegancji. Czegoś, co mogłoby potwierdzić, iż były to ubrania

zamożnych ludzi. Zamiast tego widział przybrudzone kolana i równie umorusane ręce, w których migają cegły.

Gdy dobiegł prawie pod same mury, nikt nie zwrócił na niego uwagi – jakby nie istniał. Stał przed jednym z obecnych ludzi i zaczął do niego mówić, lecz ten pozostał obojętny na jego słowa. Chciał poklepać nieznajomego po ramieniu, aby ten na niego spojrział, ale ręka Friedricha przeleciała przez korpus pracującego mężczyzny. Tę samą czynność wykonywał kilkakrotnie, lecz za każdym razem z tym samym skutkiem. Nie był w stanie nikogo dotknąć.

Przeszła mu wówczas przez głowę pewna oczywista myśl... przecież wczoraj mógł przeglądać kartki w kalendarzu! Spróbował zatem podnieść leżące na równo ułożonej stercie cegieł papiery. Ku jego wielkiemu zadowoleniu udało się. Nie był jednak w stanie ich utrzymać i po chwili odleciały razem z wiatrem.

Jedna z nich zakręciła się w powietrzu i przykleiła do twarzy Friedricha. Aby widzieć, co się dookoła dzieje, wziął ją do ręki, a następnie odruchowo przeczytał: Stowarzyszenie na rzecz odbudowy i rewaloryzacji Pałacu w Gądnie „FENIKS”, numer konta bankowego 43 1140 2004 0000 3902 7835 5295. Nie licząc określenia ognistego ptaka, nic mu to jednak nie powiedziało, a wspomniana kartka ponownie poszybowała do góry.

Wtedy obróciła się w jego stronę kobieta, która jeszcze przed momentem zdecydowanie gestykulowała. Pobiegła w stronę odlatujących ulotek, próbując je złapać – zupełnie jak polujące na motyle dziecko.

– Magda, daj spokój. Mamy przecież ich jeszcze setki – powiedział jeden z towarzyszących jej mężczyzn, lecz znaczenia żadnego z tych słów nasz bohater nie zrozumiał.

Chwyając latające papiery kobieta, odrzuciła do obserwujących ją kolegów:

– Ale dziś mamy wiatr! Wiem, wiem... Musimy jednak liczyć każdy grosz. Te ulotki mogą się nam jeszcze przydać!

Magda zdołała pochwycić wszystkie kartki i ułożyć z nich równą kupkę. Następnie odłożyła je na miejsce i położyła na nich cegłę – po to, aby już nie odleciały. Friedrich nie wiedział, co robić. Nie dość, że nie miał pojęcia, co tu się dzieje, to w dodatku nie rozumiał, o czym rozmawiają nieznajomi. Postanowił zatem ich obserwować.

Przyglądał się pracy mężczyzn, którzy znajdowali się dookoła. Odgruzowywali zarówno okolice, jak i wnętrze budynku, wydobywając spod warstw ziemi stare cegły. Z każdą minutą dochodziły nowe, które odkładano na stosy. Aby mieć oko na jednych i drugich, stanął w przejściu. Wnet poczuł, jak przebiegł przez niego jeden chłopak, który krzyczał:

– Patrzcie! Patrzcie, co mam! Patrzcie jaka świetna klamka! Przyda się nam do odtworzenia wnętrza. To pewne!

Friedrich przyzwyczajony do tego, że nie wiedział, o czym mowa, poszedł za nim i zauważył, iż młodzieniec trzyma... jego klamkę od jadalni. Była brudna i pokryta dziwnym nalotem. Tym bardziej nie rozumiał, dlaczego wszyscy zaczęli głośno rozmawiać i wzajemnie poklepywać się po ramionach. Fakt, doskonale pamiętał, że wybrał akurat ten model, ale dlaczego to ich aż tak ucieszyło?

Głosy ucichły i wszyscy wrócili do swoich prac. Kobieta, która przed momentem łąpała kartki, stała przed wejściem i wskazywała na coś palcem. Usłyszał, jak mówiła:

– Ta rozeta to symbol. Symbol tego, że jeszcze nie wszystko stracone. Trzeba będzie zdjąć jej formę, aby móc odtworzyć, chociaż część zdobień. Krzysiek, spróbuj podpytać odpowiednich ludzi o tego typu wykończenia. A ty Norbert, dowiedz się, ile będzie kosztowało odwzorowanie takich smaczków.

Obaj mężczyźni pokiwali twierdząco głową i nadal patrzyli w jednym kierunku.

Chociaż Friedrich kompletnie ich nie rozumiał to zorientował się, iż mówili o rozecie, która jako jedyna ostała się w pałacu. Patrząc na front tego budynku, dotarło do niego, w jak fatalnym stanie znajdowało się to miejsce. Doszedł do wniosku, że ci ludzie prawdopodobnie chcieli je odnowić, co podniosło go na duchu.

Tak intensywnie wpatrywał się w osamotnioną rozetę, że nawet nie zauważył, iż wspomniana trójka poszła dalej – w stronę parku. Ruszył za nimi. Kobieta wyjęła coś z kieszeni i pokazała mężczyznom. Było to dziwne, małe, prostokątne pudełeczko, na którym widniał rysunek talerza; zaś na nim znajdowała się biała altanka. Prowadził do niej tego samego koloru mostek, po którym szła kobieta okryta bielą – pod względem barwy wyglądała całkiem jak Friedrich.

– Zobaczcie, to kolejny talerzyk, który upolowałam na targu staroci. Cudny, prawda? Takie miejsce mi się właśnie marzy obok naszego pałacu – powiedziała z ekscytacją, po czym wskazała dłonią przed siebie; w stronę gęsto zarośniętego parku.

Nasz bohater spojrzał najpierw na nich, potem na obrazek, a następnie w chaszczę. Pomyślał przy tym, że mieli bardzo rozwiniętą wyobraźnię, gdyż on niczego takiego nie widział.

Cała trójka odeszła, a Friedrich postanowił raz jeszcze wrócić nad jezioro, aby zebrać myśli. Siadł w miejscu, w którym spędził noc i patrzył na tafłę wody przed sobą. Jego rozmyślenia błądziły wokół różnych tematów.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że powinien cieszyć się z tego, co miał i radować się każdą chwilą; o ile kiedyś wróci do siebie, do swoich czasów.

#3 Ciesz się chwilą, Friedrichu

Oprawszy łokcie na kolanach a głowę na dłoniach, zaczął wpatrywać się w jeden punkt – w mlecz, który znajdował się obok niego. Ujrzał, jak kwiat wielokrotnie więdnął i znowu się odradzał. Zdumiało go to. Obejrzał się za siebie, po czym zobaczył, jak okoliczne drzewa w mgnieniu oka zmieniały barwę na jesienną, traciły liście, ozdabiały się pąkami i ponownie kwitły. Spostrzegł, iż czas przyspieszył, że miesiące mijały mu na przestrzeni sekund. W międzyczasie migali też ludzie, którzy w niesamowitym tempie odbudowywali pałac. Oglądanie tej metamorfozy było czymś niesamowitym.

Nim wstał, aby lepiej się wszystkiemu przyjrzeć, zauważył, iż siedziała obok niego nieznajoma, starsza kobieta, która trzymała w dłoniach gazetę. Dotarło do niego, iż bieg czasu wrócił do normy, a za plecami miał odremontowany pałac; swój dom. Był piękny, bardzo przypominał należącą do niego posiadłość, jednak widział w niej drobne różnice.

Chciał się do niego od razu udać, ale siedząca obok staruszka nagle złapała go za rękę i powiedziała po niemiecku, aby został. Friedrich zrobił ogromne oczy, a następnie zapytał ją, jak to możliwe, że go widzi. Odpowiedziała, że na świecie istnieją rzeczy, o których nie miał on pojęcia, po czym podała mu do ręki gazetę. Wyczytał z niej rok – 2035. Na pierwszej stronie, w kilku językach, znajdowała się także informacja, iż klasycystyczny pałac w Gądnie, z niemieckiego Guden, leżący nad przepięknym jeziorem Morzycko, po wielu latach odzyskał swą dawną świetność i zaczął służyć ludziom.

Siwa kobieta kiwnęła do niego głową i pokazała dłonią, aby poszedł zobaczyć efekty, o których właśnie przeczytał.

Mijając aleję z dumnymi grabami pełniącą funkcję żywopłotu, z utęsknieniem patrzył na nową pełną wyszukanych dekoracji elewację, do złudzenia przypominającą te wykończenia, z którymi obcował na co dzień. Pomiędzy nimi wkomponowano elegancki, nienarzucający się szyld z napisem „Poradnia rehabilitacyjna”. Niżej widniało: „Uzdrowisko i baza noclegowa”. Co ciekawe, był on interaktywny i co trzydzieści sekund tekst tłumaczono na inny język; także i niemiecki, dzięki czemu Friedrich mógł poznać nowe przeznaczenie swego pałacu w Guden.

Obrócił się, aby spojrzeć na przypałacowy park. Jego oczom ukazała się gromada kuracjuszy, którzy ospale spacerowali pomiędzy drzewami i podziwiali malownicze krajobrazy.

Nagle wszystko zaczęło się rozmywać, rozpadać jak talerz, który z impetem upadł na podłogę. Na ziemi przez nagłe zawroty głowy wylądował też sam Friedrich. Gdy po chwili wstał, zorientował się, że był przy swojej starej, dobrej posiadłości.

Od razu pobiegł do ukochanej, aby o wszystkim jej opowiedzieć...

Dodatek



Bożena Adamczyk

Baja o Szerberze

Zadumałam się nad legendą o Szerberze, którą spisał w XIX wieku Friedrich August Edmuard Handtmann. Zapraǳnęłam posłuchać szumu fal pięknego jeziora Morzycko, na którego przeciwnych brzegach usadowiły się dwie miejscowości, Moryń i Gądn. Tam, gdzie słońce wschodzi, wody jeziora wydają się przyjaźniejsze, jaśniejsze, bo przy piaszczystym, płaskim, łagodnym brzegu nie ma niespodziewanych głębi i topieli.

Wieczór już mocno szarzył niebo, kiedy wędrowałam przez starodrzew parku przylegającego do pałacu w Gądn. Wkrótce ujrzałam srebrzyście połyskujące lustro jeziora. Lekki wiaterek marszczył łagodnie wodę, układając ją w drzące fale, które cicho szemrały. Wsłuchałam się w tę wodną muzykę z nadzieją, że legendę usłyszę. Niestety, nic takiego się nie zadziało. Natomiast zauroczyła mnie swoim pięknem błyszcząca toń wodna, przywołując i namawiając, abym wypłynęła na środek, gdzie głębia niezmierna.

Już chciałam to uczynić, kiedy poczułam lekki dotyk na swoim ramieniu. Tuż przy mnie stała wysoka, zakapturzona postać, ubrana w ciemną, długą aż do ziemi szatę. Mężczyzna gestem pokazał, abym usiadła i odezwał się w te słowa:

– Często bywa, że człek błędzi jak ślepiec pośród przeszłych podań i tylko wiedza gruntowna, czerpana u źródeł mądrości, z samej jego głębi, z zakątków najtajemniejszych, pozwala nieco rozjaśnić owe owite ćmą mroki... Jam jest z dawnych tabolarów, kapłanów, którzy wieki temu zamieszkiwali te ziemie. U nas była wiedza i magia. I my znamy tajemnicę o powstaniu Potworów i Stworzy.

Do nich należy Stwórok, później nazwany przez Germanów Szerberem, ale Baję moją rozwinę...

Rzecz działa się dawno, bardzo dawno temu, kiedy to bogowie walczyli między sobą o władzę i panowania. Ten czas i przestrzeń bóg Kir przesłonił welonem niepamięci. Bogowie, żeby wspomóc samych siebie w walce, stworzyli Potwory. Jednakże Potwory te wymknęły się spod boskiej kontroli i rozpoczęły walkę, bo też zapraǳnęły rządzić i władać Niebem, Ziemią i Zaświatami. Nie można było ich zniszczyć, bo powstały z istu, boskiej materii, która była wieczna.

Wtedy Bóg Bogów nakazał podrzeć, rozerwać, pociąć ciała Potworów i na nowo

utworzyć z nich inne postacie. Obiecał tchnąć w nie iskrę swojego istu, by stały się łagodniejsze, bardziej uległe, aby ich natura współgrała ze światem. Tak powstały Przedstworza. Nazwano je tak, bo narodziły się w przestworzach.

Z ciała Potwora Poskrudy, do której należały głębiny wodne powstał Przedstwór, ojciec Szerbera. Trzeba wiedzieć, że w onych czasach wody tego jeziora rozlewały się niezwykle szeroko; na północy sięgały prawie do Morza Bołotyck. Przedstwór na samym środku tych wielkich wód wybudował ogromny pałac, w którym zamieszkał; obecnie w tym miejscu jest park gądnowski.

Pewnego razu podpatrzył dwie siostry, które wiodły między sobą spór zaciekły. Były to Zmora i Chorzyca. Zmora to córka bogów Zagłady. Ojciec jej to Mor zwany Panem Zarazy, Panem Zagłady i Panem Klęski. Posługiwał się Krzywym Nożem – Brzytem. Za żonę pojął swoją siostrę Marzannę, której na drugie imię było Morzyca. Nosiła ona tytuły Pani Starości i Zapomnienia, Władczyni Niemocy i Pani Rozkładu. To rodzice Zmory, a w jej żyłach płynęła czysta krew Morów. Bogini ta była wyjątkowo nieprzychylna ludziom i każdemu żywemu stworzeniu; zazdrosna o Chorzycę.

Chorzyca, której drugie imię to Groźnica, zrodzona została z namiętności Chorsa i Marzanny. Sam Chors, Władca Krwi, Pan Wiary i Tajemnicy, Pan Nocy i Księżycy niechętnie opowiadał o swoim uczuciu do Marzanny, bo wszyscy się temu dziwili, bowiem Marzanna pięknnością nie była. Lodowata, wyniosła, niedostępna, odpychała wszystkich nie tylko swoją postawą, ale i wyglądem. Chorzyca była bardzo podobna do swojej matki. Szczupła, wiotka i śmiertelnie blada. W jej twarzy zwracał uwagę haczykowaty nos i wąskie usta. Jedynym jej narzędziem był naręczny kosz, do którego krogulczymi palcami wkładała wszystkie zioła i jagody świata. Zawsze towarzyszyła jej właściwa rodowi Chorsa łasica; stanowiła ich atrybut.

Ogromną namiętnością i żądzą do dwóch sióstr zapalał Przedstwór żyjący w podwodnym pałacu. Nie wiadomo, która czy Zmora, czy też Chorzyca powiła dziecko, Stwóroka, później nazwanego Szerberem. Zamieszkał on razem z ojcem swoim.

I tak się stało, że to nie był pierwszy przypadek, iż Przedstworza zaczęły rozmnażać się z bogami czy też ludźmi. I ponownie musiał interweniować Bóg Bogów, Światowid. Zakazał temu i powiedział dość dzieciom poronnym, bo powstałych z Przedstworów, a one nie były poczęte tylko stworzone rękoma Żywiołów i Mocy. Bóg

Bogów w wielkim gniewie cofnął wody świata i wtedy wynurzył się pałac Szerbera, a obok niego w najgłębszej dolinie powstało jezioro, które nazwano Morzycko od drugiego imienia jego babki Marzanny.

Po wycofanych wodach pozostały żyzne błota, więc bardzo szybko obszary te zasiedlili ludzie. Wygonili oni Szerbera z pałacu, który prawie oczyścił z błota i mułu. Rozgniewany wydał policzki i dmuchał zimnym, mroźnym wiatrem, lecz ludzie się nie bali – wyciągnęli skóry zwierząt i nimi się okryli. Rozgoryczony poprzysiągł im zemstę i ukrył się w największej głębi jeziora Morzycko. Długo tam siedział, przetrawiając swoją żalność i przygotowując się na odwet. Poprosił Marzannę, aby Mor wykuł dla niego krzywy nóż – brzyt. Chorzyca zaś podarowała mu łasicę.

Czekał cierpliwie na sposobną chwilę. Łasica to sprytne zwierzę; wnet wypatrzyła chłopca, który wybrał się na konną przejażdżkę, wypatrując wzdłuż brzegu kamieni na budowę domu. Szerber dźgnął go ostrym, krzywym nożem w stopę, wykrawając spory kawał ciała. Ciął w piętę, bo chciał sprawdzić, czy istota była śmiertelna, czy też wieczna. Znał prawdę, że Bóg Bogów nakazał, aby wszystko, co zostało ukształtowane przez Stworza zostało obmyte Martwą Wodą, aby mieć pewność, że nie zakłócą już więcej ładu świata. Chłop mimo głębokiej rany począł się szarpać i wrywać. Rozzłoszczony Szerber rozdziawił szeroko usta, prawie do niemożliwych rozmiarów i połknął chłopca oraz konia. Po kilku dniach ludzie wyłowili z wody topielca z dziurą w pięcie.

I tak rozpoczęło się nękanie przez Stworoka, jednakże ludzie pamiętali, aby mieć się na baczności przed mściwą zjawą. W czasie letnich dni lubił zagrzebywać się w ciepłym, wilgotnym piasku i cierpliwie czekał na ofiarę. Nieostrożność mogła kosztować życie, bo obudzony Szerber swoim ostrym nożem ciął mocno w piętę albo połykał i wciągał pod wodę. Ludzie widywali go jako kilkunastoletniego chłopca, ubranego w białą szatę, która nawet podczas lekkiej bryzy trzepotała i otulała go niczym nocna koszula. Chude, patykowate nogi odziewały białe pończochy, a na stopach nosił śnieżnobiałe łapcie. Twarz miał mizerną i maleńką, upiornie bladą niczym u Morzycy, babki swojej. Lico jego rozświeślały straszne, czerwienią błyszczące oczy, a powieki były bezrzęse. Włosy długie do ramion, jasne niczym srebrem błyszczący łód, przykrywała czerwoną, niewielką czapczką. Stroju dopełniała kolorem dobrana czerwona kamizelka,

pod którą ukrywał ostry, krzywy nóż, bardzo podobny do Krzywego Noża – Brzyta, jaki nosił Mor.

Wiele zwyczajów i upodobań przyjął od Chorzycy, która zajmowała się uprawami, a szczególnie lubowała się w ziołach. Szerber lubił przechadzać się po polach uprawnych i żeby dokuczyć ludziom, nosił wodę z jeziora, którą spryskiwał liście, źdźbła, kwiaty, owoce, a potem mroził swoim oddechem, bo wszak miał w swoich żyłach krew Morów. Często w wędrówkach towarzyszyła mu biała łasica, podarunek Groźnicy. Możliwe nawet, że posiadał zdolność taką, że sam w łasicę się przemieniał. Ukrywała się wtedy w stogach siana, konarach drzew, czekając cierpliwie na kolejne ofiary...

Cisza nastąpiła, bo kapłan przerwał swoją Baję; tylko jezioro tajemniczo mrucało. Uśmiechnęłam się i odwróciłam ku ciemnej postaci, chcąc podziękować, ale ona już rozplywała się w atramencie nocy. Tylko srebrzysty księżyc i migocące gwiazdy przeglądały się w tafli jeziora, mrugając niczym starożytne bóstwa słowiańskie z Zaświatów.

Bibliografia:

- Czesław Białczyński, „Mitologia Słowian”
- Friedrich August Eduard Handtmann, „Neue Sagen aus der Mark Brandenburg”

Słowniczek:

- Baja to słowiańskie miano religijnego, wierzeniowego mitu. Za ich pomocą przekazywano wiedzę o przeszłości. Były głównym źródłem zachowania pamięci o dawnych podaniach wiary przyrodzonej.
- Tobolarowie, tobolary, toblacze – gromada kapłanów dawnych świątyń, kościołów i kątyn.
- Kir – jeden ze słowiańskich bogów władających czasem, kształtem, kierunkami i przestrzenią.
- Potwory zostały stworzone przez bogów Żywiołów i bogów Mocy, którzy wiedli bój o panowanie nad światem.
- Bóg Bogów (inaczej: Światło Świata, Świątowit, Światłowit, Światowit, SWĄT) – najwyższy Bóg starożytnych Słowian; czczony jeszcze w średniowieczu, stulecia po chrzcie Polski.
- Bołoty (inaczej: Bałatyr, Błoty, Bełtyk) – nazwy Morza Bałtyckiego nawiązujące do boga mórz Wodobelta.
- Przedstworza (inaczej: prabogunowie i prabogunki) – powstały z kawałków ciał Potworów.
- Poskruda – jedna z Potworów. Powstała z wód Przedmorza, czarnej bryi bagiennej, czerwonej gliny, czarnej gleby oraz dwóch sekretnych rodzajów mchów. Ożywili ją swoją gorącą żądzą Kupała i Dziewanna.
- Stworza (inaczej: Stworzowie, Stwóroki albo bogunowie, boginki powstałe z Przedstworzy) – o wiele mniejsze od swoich rodziców. Bogunki i Bogunowie nazywane są poronnymi dziećmi, bo są po trzykroć poczęci rękami Żywiołów i Mocy. Po raz pierwszy poczęto ich jako Potworów, po raz drugi jako Przedstworzów z kawałków ciał Potworów, po raz trzeci jako Stworza.
- Zmora (inaczej: Pasterka Chorób, Pani Kirsnu-Maligny, Pani Męki, Władczyni Cierpienia i Królowa Zduszków-Demonów) – córka Mora i Marzanny. Zadaje cierpienie i ból, sprowadza śmiertelne choroby. Nawiedza swoje ofiary we śnie, przynosząc duszności, omamienia, złudy, męczące koszmary, niedobrą gorączkę. Jej mocy i władzy podlegają wszyscy Zdusze, czyli demony wylęgłe w Nawiach. Kieruje

nimi, gdy schodzą na Ziemię, aby się zabawić. Zmora lubuje się w zadawaniu bólu wszystkim istnieniom i często oddaje się próżnościom – lubi wylegiwać się i oddawać zabawom z innymi bogami, bogunami i inogami, napastując ich ciemną nocą.

- Chorzyca (inaczej: Groźnica; Pani Gorączki i Bólu, Królowa Ziół, Pani Zdrowia i Choroby, Władczyni Trucizn i Leków, Pani Miłosierna) – córka Chorsa i Marzanny. Rządzi lekami i truciznami, które zadaje według swego uważania. Jednych leczy, a innych tym samym uśmierca. Sprowadza choroby i daje zdrowie. Chorzyca była bardzo pracowita. Zbierała liście, kwiaty i korzenie, wstając w środku nocy, by okryte były właściwie rosą i by Księżyc wyciągnął na powierzchnię z ich wnętrza właściwie soki. Odzierała pędy z kory, suszyła pestki i mielila nasiona. Patronka chorych i zielarzy.
- Mor (inaczej: Mor-Murom, Mor-Mór, Mor-Moroz; Pan Zarazy, Pan Zagłady, Pan Klęski) – syn Białobogi i Czarnogłowa. Posługuje się magicznym Krzywym Nożem – Brzytem. Za żonę pojął swoją siostrę Marzannę. Jest znany z tego, że poza Marzanną nikogo nie darzy względami, bo po prostu nie umie tego robić. Poza tym, żadna bogini nie chce, by jej wdzięki uległy zagładzie i zapomnieniu, a serce stało się soplem lodu. Mor, w postaci Mroza, przybywa na Ziemię w porze zimowej, czyniąc ziąb ostry i lody. Wraz z całym swoim rodem otula świat senną przykrywą ze śniegu. To, co żyło – zasypia, zmorzone w śniegach, zastygłe w lodowcach i zmarzlinie. Kładzie lód po rzekach i jeziorach, sprowadza rozmaite klęski płynące głównie z pozimowych roztopów, ale też i z tak zwanej morowej zarazy. Często Morowi towarzyszy Marzanna, która jako Królowa Śniegu okrywa ziemię białym płaszczem, stwarzając każdy płatek śniegowy innym, jakby to był osobny, niepowtarzalny kwiat lodowy. Mor każdemu z tych kwiatów daje jąderko z kostrej jigły. Niektóre Baję prawią, iż wspólnie ze Swarogiem, każdy płateczek, pod okiem Marzanny kowają, kuja morowymi kleszczami, ciągną, a swarogowym młotem biją, jeno skry się sypią.
- Marzanna (inaczej: Morana-Marzanna, Marza, Mora, Marya, Marza, Marzanya, Marzanna, Marmuriena; Królowa Śniegu, Pani Starości i Zapomnienia, Władczyni Niemocy, Pani Rozkładu, Pani Zdrowia i Odradzającego się Życia, Pani Zdrowienia) – córka Czarnogłowa i Białobogi. Sprowadza starość i rządzi wszystkim, co się ze starością wiąże, a zwłaszcza zapomnianiem o rzeczach i sprawach, jak też zapomnianiem o ludziach starych i pogrążaniem ich w samotności. Powoduje rozkład i powolne obumieranie, ale nie śmierć. Stan, jaki wywołuje to martwota, zamieranie i marnienie.

- Chors (inaczej: Pan Wiary i Tajemnicy, Pan Nocy, Księżycy i Ziemskich Wód, Władca Taj, Władca Krwi) – syn Białobogi i Czarnogłowa. Chorsowi przypisuje się władzę nad demonami wodnymi i nocnymi. Na jego Niwie znajdziemy: olchę, dereń, dziurawiec, chrzan, piołun, łasicę, kota, kruka, wilka.
- Czarna Woda (inaczej: Woda Martwa; Woda Śmierci pochodzi z Czarnych Źródeł) – nie odróżnisz jej po smaku i zapachu od zwykłej wody, ale jeden jej łyk wystarczy, aby zabić wiele osób.

Projekt charytatywny

Pałac w Gądnie został zbudowany około 1830 roku w stylu klasycystycznym, nawiązując do form greckiej sztuki antycznej. Jest jednym z nielicznych tego typu dzieł w regionie Pomorza Zachodniego. Obecnie budowla znajduje się w stanie postępującej ruiny.

Zabytkowe rezydencje traktowane są jako jedne z najatrakcyjniejszych obiektów architektonicznych o wartości historycznej. Pałac w Gądnie wraz z parkiem oraz zabudowaniami folwarcznymi należy do wysokiej rangi rezydencji gminy Moryń. Niegdyś był w posiadaniu marchijskich rodów rycerskich. Niewykluczone, że zbudowano go na miejscu starej siedziby Schönebecków, właścicieli Gądna od 1608 roku. Sama wieś była rybacką osadą słowiańską.

Pałac ufundował syn starosty Chojny, Friedrich von Mülheim – wielki koniuszy pruski, ochotnik podczas walk napoleońskich (6 Królewski Pruski Regiment Kirasjerów), członek dworu królewskiego, hodowca koni pełnej krwi arabskiej. Friedrich był przyrodnim bratem Idy von Lüttichau – artystki oraz mecenaski sztuki, którą sam Richard Wagner nazwał „pierwszą kobietą wyższej sztuki” i zadedykował jej partyturę „Latającego Holendra”. Pałac po śmierci Friedricha otrzymała córka Idy, Henrietta. Pałac wraz z zabudową folwarczną pozostawał w posiadaniu rodziny; dziedziczono go w linii żeńskiej. Ostatnimi właścicielami byli członkowie arystokratycznego rodu von Rohr. W latach 30-tych XX w. w pałacu mieszkała między innymi wnuczka Karla von Rohra, Barbara von Kalckreuth – rzeźbiarka i malarka, żona słynnego niemieckiego malarza Conrada Hommela.

Naszym celem jako stowarzyszenia jest pomoc w odbudowie pałacu w Gądnie, promocja regionu oraz wsparcie młodych talentów.

Niestety przedsięwzięcie wymaga ogromnych nakładów finansowych. Jeśli Państwo chcą wspomóc nasze działania, zachęcamy do przekazania 1% podatku (**KRS: 0000195764, cel Pałac w Gądnie 008**) lub darowizny z dopiskiem „Na odbudowę Pałacu w Gądnie” (**Nasz nr konta: mBank 43 1140 2004 0000 3902 7835 5295**). Wszystkim wspierającym serdecznie dziękujemy.

Zapraszamy również na nasze **social media**:

- [Facebook](#)
- [Instagram](#)
- [Strona internetowa](#)